

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y.M.C.A.

NR. 14-15 (22-23).

PARYŻ, 1-15 SIERPNIA 1945.

ROK 2.

GUSTAW MORCINEK.

LISTY Z POD MORWY

Nie miałem zamiaru pisać dzisiaj do Ciebie, bo męczy mnie upał.

Od kilkunastu dni bowiem z nieba leje się żar, a który z dniem każdym wzmacnia się i wzmacnia. Niebo jest wciąż ogromnie błękitne, o pewnych porach dnia podobne do nieba wymalowanego na stropie wiejskiego kościółka w Polsce. Na tle takiego błękitu powinna się pojawić Matka Boska w otoczeniu aniołków, w gęstwie lilij i białych róż, stare organy powinny rozpocząć Litanię do Najświętszej Panny, dzieci powinny śpiewać tamtą rzewną pieśń «Po górach dolinach rozlega się głos...», prześliczną pieśń w swej prostocie, z refrenem: «Ave, Ave Maria!...» a moja matka powinna klęczeć obok mnie i trzymać mnie za rękę, i szeptać :

— Podziwiew się, syneczku.... To Panienska Maryja!....

Podczas takiego błękitu w powietrzu powinien unosić się zapach kadzidła i zapachy wędniejących róż na otłazie, ludzie zaś powinni być cisi i pełni ufności.

Nic z tego nie ma.

Tylko niebo jest błękitne, podobne do nieba wymalowanego na stropie wiejskiego kościółka w Polsce, a poza tym jest ogromne słońce nad ziemią, ziemia zaś jest sucha i spieczona, brunatna i dysząca z utrudzenia. Jak ten mój kotek rudy, co leży teraz na spalonej trawie pod morwą, wyciągnięty, senny, dyszący ciężko, a kiedy go zawołać, podniesie głowę i patrzy na mnie tak, jakby chciał powiedzieć :

— Daj mi spokój....

Daję mu więc spokój. Wstaję z pod morwy i rozglądam się po świecie. Isère skrzy się dzisiaj w słońcu, że ją trudno poznać. Zawsze podobna do zamorusanej robotnicy, co jej ogromnie śpieszno do domu, dzisiaj wystroiła się w słoneczne łuski i przechadza się po dolinie. Masyw Belledonne również odmienił swoje oblicze, bo przysłonił się mgiełką przesyconą błękitem i opalem.

Gdy przyjdzie noc, będzie inaczej. Belledonne będzie wspierał gwiazdy na ciemnym niebie, po ziemi rozleje się

ciemny mrok, a w mroku będzie ciśnie, w ciszy zaś rozkrzyczą się świerszcze do niepamięci. Nawet płaki, co teraz omdlewają w gąszczach, ockną się pod wieczór i zaczną śpiewać.

Na widnokręgu, poza Grenobłą, na wysokim stoku alpejskim, płonie las. Już płonie drugi dzień i drugą noc. Za dnia unoszą się stamtąd wysokie słupy szarego dymu, który na pewnej wysokości rozwiewa się w ogromny pułap, idący powoli na południe. W nocy zaś wybłyska stamtąd splecione sznur ognia, sznur powęzłony, patrzący z głębi nocy krwistymi ślepiami pożogi.

Ów płonący las alpejski przypomina mi płonące Monachium w nocy.

Nie uwierzysz, Stefko, jaka to była dziwna, podniecająca, oszałamiająca noc!...

Spaliśmy już, gdy nas zbudziły jęczące syreny. Niezadługo mrok nocy zaczął nabrzmiewać tęsknotą samolotów angielskich. Łoskot rósł, wzmacniał się, przemieniał w przeciągły grzmot, a równocześnie po niebie jęły śmigać oszalałe ze strachu macki reflektorów niemieckich i jęły pękać strzały artylerii przeciwlotniczej.

A kiedy grzmot silników wzrósł do ostatnich granic, rozpoczął się oszalały sabat ognia. Czarne niebo rozkołowało się rykiem motorów, blade macki reflektorów cięły noc na strzępy, powietrze siekło nieustający świst, a równocześnie z ziemi podnosił się ocieźły huk eksplozji. Każdemu hukowi towarzyszył olbrzymi wytrysk ognia i skołtunionego dymu. Huk przemieniał się teraz w dygotliwe bębnienie, a strugi ognia zlewały się w potworną łunę, unoszącą się coraz wyżej i wyżej.

W ich okrwawionym blasku lyskały niesamowicie spokojnie lecące białe, jakby posrebrzane bombowce, otoczone gęstym wieńcem błysków. Eskadry leciały za eskadrami. Jedna, druga, dziesiąta, potem już setna!...

Człowiek w obozie przywarł do mroku i nienasyconymi oczami pożerał tamten widok, sycił nim swoje serce, upijał się, dosłownie upijał!...



Cz 31892/1945/14-15

1604 c 1996

— To za naszą krzywdę!... — szeptał. — To za naszą krzywdę!...

— Für deine Warschau... — szeptał obok mnie kolega Niemiec i ścisnął mi kureczowo ramię. — Es ist für deine Warschau!... Für die Menschheit!... Eine Rache für den ermordeten Gott!... Siehst du?...

Eskadry leciały bez przerwy, jedną godzinę, drugą, potem trzecią!...

Łuna nad nieszczęśliwym miastem rosła, pęczniała, zalewała cały świat krwawą posoką, rozpalala w oczach człowieka w obozie zbójeckie błyski, serce zaś, to głupiutkie serce ludzkie zataczało się, upite widokiem pomsty i mordu!...

O, w tamtym pożarze spala się krzywda człowieka w obozie, w tamtym ogniu spełnia się miara sprawiedliwości, w tamtej pożodze czeźnie złość ludzka!... O' żeby więcej bomb, żeby jak najwięcej bomb leciało na tę przeklętą ziemię, by jak najwięcej istnień ludzkich, znienawidzonych do ostatnich granic, wyzdychało w tamtym ogniu!... Za tę naszą krzywdę!...

— Ojcie nasz, który jesteś... — wypelza z rozdygotanego tłumu czyjaś modlitwa.

— Milcz, dziadzie przeklęty! — bryznął brutalny głos i zdusił tamte święte słowa. — To za naszą krzywdę!...

Spojrzałem po swoich towarzyszach. Twarze były oblane łuną, że teraz wyglądały w mroku jak twarze szatanów, wykrzywione, kureczowo ściągnięte, zajądłe i złe. Oczy wszystkich zaś były podobne do maleńkich płonących głowni.

— To za naszą krzywdę!...

Z grupy białych, powoli sunących samolotów odłączył się jeden, ponurkował zakosem w dół, rozgorzał żniemacka jasnym płomieniem i jał teraz spadać, jak płonący liść, w głąb krwistej nocy. Wszyscy wstrzymali oddechy, wszyscy wpatrzyli się w spadający bombowiec. Czy załoga wyskoczy, czy nie wyskoczy?... Jezusie święty!... Jeżeli wyskoczy, pojawią się nad nim białe grzyby, opadające zwolna na ziemię. Nie!... Samolot leci płonącym zygakiem do ziemi, nikt nie wyskakuje, teraz się rozpadł!... Spadają drobne, płonące drzazgi!... Spadochronów nie widać!...

— Zginęli! — szepnął ktoś z nas zduszonym głosem.

— Ojcie... nasz... który jesteś... w niebie... — wychyla się z ciszy nieśmiały szepł ludzki.

Już mu teraz nikt nie przerwał brutalnym protestem. Wszyscy milczeli, słuchając tamtego szeptu.

— Wieczny odpoczynek racz im... dać... Panie!... — błąkał się nadal pokorny szepł.

— Amen... — odpowiedziało kilka głosów.

I znów nastała cisza.

Noc była wciąż krwawa i tętniąca łomotem eksplozji, oddechy ludzi były jakby zduszone, serca wciąż trzępotały się w piersiach, jak dzikie ptaki w klatce.

— Matki będą ich na próżno czekały... — wychynał w nieoczekiwanej chwili czyjś młody głos.

— Podobnie, jak matki naszych kolegów, a może... jak i nasze matki!...

Ziemia jeszcze dygotała wybuchami bomb, tylko grzmot motorów nad nami uciszał się i oddalał na zachód. Łuna zaś ogarnęła całe niebo.

Lecz to było dawno. To było już bardzo dawno. Wydaje mi się czasami, że tego wcale nie było w rzeczywistości, że to był sen jakiś ponury. Czasem tylko przychodzą wspomnienia, wywołane przez niespodziewane skojarzenie. Jak na przykład wczoraj, kiedy z pod swojej morwy patrzyłem na płonący las alpejski w głębi nocy.

Dzisiaj przed południem poszedłem do sąsiedniej wsi, do St. Ismier, by odnieść list na pocztę. List wczoraj pisany. Droga, a raczej dróżka prowadzi przez winnice wzdłuż wy-

sokiego stoku grani o nieznanym mi jeszcze nazwie. Stok jest stromy, podobny do ogromnej ściany, szary i buchający żarem. Pod stokiem zielenią się usypiska, a poniżej usypisk przycupnięte kamienne chałupy francuskich górali i drzemią w słońcu. Robią istotnie wrażenie drzemiących, gdyż wszystkie okiennice są pozamykane, żadnych ludzi nie widać koło nich, a jedynie pies leży na progu, z głową ułożoną na płask między wyciągniętymi łapami, i nawet nie raczy na mnie zaszczeakać. Wszystko naokoło jest już wypalone, jedynie winnice posiadają jeszcze soczystą zielen. Droga do St. Ismier nie jest daleka, tylko że wciąż ginąca w zakrętach, wybiegająca raz po raz na wzgórek, a potem znowu schodząca w dolinę.

I jak daleko okiem sięgnąć, nie było nikogo na drodze, tylko to ogromne słońce, a w słońcu ja ze swoim cieniem.

I znowu nadeszło mnie dziwaczne wspomnienie z obozu.

Oto, pamiętam, kiedy raz stałem zadumany za kołczastymi drutami, naszło mnie ogromne pragnienie, by chociażby jeszcze raz przed skonem móc widzieć drogę. Taką drogę pełną samotnego słońca, wiodącą mnie między zbożami i między łąkami. Żeby móc stanąć gdzieś na jej skrzyżowaniu i słuchać sercem — bo czemże by innym — i słuchać sercem, jak tą drogą szli i szli ludzie, jak tą drogą wędrowały całe pokolenia ludzkie... I słuchać, jak tą drogą idzie życie w słońcu, koło takich samych kamiennych i młoczących, zdawałoby się wymartych chałup góralskich, koło płotków, pod którymi, w gestych chwastach, leży cień wilgotny. I słuchać, jak tą drogą leci wiatr, pachnący przestrzenią... O, hej! Wiatr pachnący słońcem i przestrzenią!...

I chciało się wędrować taką drogą daleką, od ludzi do ludzi, pić wodę z kamiennych studni, z których woda cieknie z cichym szklanym bełkotem, zanurzyć w takiej wodzie dłonie i twarz i znowu iść i iść na jej bezkresny kraniec. A czasem lec w owym przydrożnym cieniu wilgotnym i słuchać własnego serca, jak się modli... I wyczuwać z niewysłowioną ulgą, jak zmęczenie wycieka ze zdrowzonego ciała, że kiedy wstanę, zmęczenie zostanie poza mną, jak odrzucony łachman. I móc słuchać skowronka nad sobą, i modlić się pod jakąś kapliczką na rozstaju, przed frasobliwym Chrystusem, wyrzezanym z lipowego drzewa i móc przede wszystkim spotykać ludzi po owej drodze, ludzi umiających się jeszcze uśmiechać jak dziecko, a którzy mieliby dla mnie proste słowo z pod serca :

— Boże ci daj szczęśliwą drogę!... — jak u nas mawiano, na Śląsku w Beskidach.

Pragnienie to pozostało po dziś dzień.

Zmieniło się jednak nieco, jakby skurczyło, ograniczyło. Oto, żeby przynajmniej móc spotykać takich ludzi, którzy jeszcze umieją się uśmiechać do przechodnia, jak dziecko. Życie bowiem w obozie zabiło w nas ów uśmiech.

Spostrzegłem to do reszty, kiedy idąc ścieżką do St. Ismier, przypominałem sobie drobną książeczkę, przeczytaną w dzień poprzedni. Była to książeczka napisana przez Melchiora Wańkowicza p. t. «Dzieje rodziny Korzeniowskich».

O tak, Stefko! Owa niepozorna książeczka, wydana na mizernym papierze gdzieś w Italii, prawi w bolesny sposób o znajomej mi trochę rodzinie Korzeniowskich w Katowicach, jak kolejno ginęła na zesłaniu w Rosji.

Po jej przeczytaniu pozostaje tylko pragnienie spotkania na drodze ludzi o uśmiechu dziecka. A równocześnie spostrzegam ze wstydem, że my wszyscy, cośmy wyszli z niemieckich obozów koncentracyjnych, pragniemy — podświadomie może — uważać się za niebawiałych bohaterów i męczenników dla sprawy polskiej. I każdy z nas, opowiadając o tamtym piekle, usiłuje — podświadomie może — wywołać u słuchacza współczucie i podziw. (fragment)

Rozmowa z Gustawem Morcinkiem

Gustawa Morcinka spotkałem w Paryżu, na Lamandé, w schronisku intelektualistów, artystów i studentów. Poprosiłem go o chwilę rozmowy dla «Razem», co spotkało się z miłym uśmiechem i odpowiedzią.

— Ah, bardzo chętnie. Już dużo słyszałem o «Razem».

W twardej, wyniszczonej przez Dachau twarzy Gustawa Morcinka, za dużymi okularami kryją się jasne — nietyle w barwie, ile w spojrzeniu — oczy, polskie oczy. Patrząc na tę twarz, nieznana mi przed wojną. Trudno mi powiedzieć, czy i ile się zmienił. W twarzy jest ślaska zaciętość i uśmiech dziecka, prostota i szczerłość, tylko w kącikach ust błąka się grymas, taki bolesny grymas człowieka, który wierzy w dobroć, w miłość i uśmiech — a musiał stykać się przez sześć lat tylko z podłością, nienawiścią, cierpieniem i zbrodnią. Po prostu — z Dachau.

Umówiliśmy się na wieczór w schronisku na Wagram, gdzie, podobno, «dziewczęta coś urządzają wieczorem; — taką wieczorynkę! — chciałbym tam być...

— Przyjdzie pan? Prawda?» — mówi na odchodne.

Przyszedłem. Dziewczęta z obozów w Niemczech, przebywające na kursie pielęgniarskim urządzają własnymi siłami taki skromny miłutki wieczorek. Trochę śpiewu i muzyki, deklamacji i znów śpiewu a wszystko tak prosto, z ujmującą serce tremą i zapałem. Szkoda tylko, że rolę konferansjera wziął na siebie jakiś kapitan — nadający się do tego jak ja do chodzenia po linie.

Najciekawszym numerem programu były gadki i bajki ślaskie, opowiedziane przez Gustawa Morcinka. Tak prosto, bezpośrednio umiał przemówić do serc wszystkich, w sposób, który nie miał nic za trudnego w sobie dla najprostszych i nie za taniego dla inteligencji (tej prawdziwej i nieprawdziwej). Brawa, uśmiechy i śmiechy radosne małej salki na Wagram, gdy za oknem trąbiły auta, pozostanie dla Gustawa Morcinka na pewno miłym wspomnieniem. Miło przecież jest wiedzieć, że trafia się do serc wszystkich, że przez chwilę było się dla wszystkich potrzebnym.

Wieczorek dalej trwał, a my wyszliśmy. Ponieważ w ruchliwym Paryżu niełatwo jest rozmawiać — zaproponowałem jako miejsce pogadarek klub IMCI, gdzie jest spokój, herbata i papierosy. Czekając na metro — rozmawiamy.

— No teraz niech mi pan pyta — mówi mi zachęcająco Gustaw Morcinek — o co pan chce.

— Więc takie pytanie sakramentalne : czy pan coś pisze teraz i jakie ma pan zamiary na przyszłość, jeżeli chodzi o pisanie.

— Widzi pan, z pisaniem to gorzej. Jakoś jestem jeszcze zbyt oszołomiony tym przeskokiem z Dachau do Paryża. To dwa odrębne światy. Przede wszystkim muszę wypocząć — i to tak gdzieś daleko, w górach, gdzie ludzie umieją się jeszcze uśmiechać. Tak, będę pisał — wiem co. To mnie «męczy» jeszcze od Dachau — jak męczyło nas wszystkich: doktorów, robotników, księży, wszystkich, to co w modlitwie codziennie powtarzamy, a źle, lub ciągle inaczej rozumiemy; «i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom».

Jeżeli chodzi o formę — będzie to też coś nowego — będą to listy. Listy prawdziwe, do kogoś, kto rzeczywiście istnieje, gdzie będzie tylko prawda przeżyć i przemian jakie zaszły w nas i zachodzą. No, a teraz mam wyjechać do Biviers.

— A tam ładnie — wtrącam.

— Ładnie? — podchwytuje pisarz — góry? las? o, to dobrze. I już boleśnie skupiony wyraz oczu znika, pierzcha a twarz wyprostowuje się uśmiechem. Już nie ma Dachau — jest Biviers — gdzie może znajdzie się cichych, innych ludzi.

— To jak na Śląsku — mówię, ale właśnie zajeżdża metro. Siadamy i jedziemy na Leverrier. Tyle pytań ciśnie mi się na usta — jak przeżył Dachau... te sześć strasznych lat — i właśnie Gustaw Morcinek sam mi o tym mówi, że był zaaresztowany zaraz po wkroczeniu Niemców, a szczęśliwie przez cały czas udawało mu się uchodzić za Augustyna Morcinka, mimo, że Gustaw był poszukiwany, a jego książki zakazane. Autor «Ślaska» i «Wyrąbanego chodnika» nie miał wątpliwości, co byłoby się stało z nimi, gdyby Niemcy go wykryli. Były momenty krytyczne, ale jakoś przeszło. Incognito swoje utrzymał dla Niemców, mimo, że wśród Polaków dobrze wiadano o kogo chodzi.

W pewnym momencie mówi mi:

— Wie pan, że w Dachau, mieliśmy parę książek polskich? A było to tak. Młodych chłopców często Niemcy brali do prac w piwnicach Gestapo w Monachium. Byli tam dwie skrzynie. Chłopcy myśleli że to wódka, więc je rozbili. Były to książki polskie wywiezione z bibliotek w kraju. Pierwszą na jaką się natknęto był mój «Ślask», a potem «Inżynier Szeruda», który cieszył się największą popularnością. Było jeszcze «W zadymionym Słońcu», «Miasto nad rzeką», «Na rozdrożu serca i «Wyrąbany chodnik». Oczywiście wśród tak przemycanych książek przychodziło dużo śmieci, amoralnych rzeczy. Jednak wielu księży za te książki oddawało swój chleb, by potem móc je zniszczyć i nie dopuścić, by krążyły wśród ludzi. Kto wie, co znaczy w obozie kawałek chleba, wie co to za bohaterstwo!

Wysiadamy na Vavin i idziemy do klubu.

— Miałem, wie pan, okazję do przeprowadzenia ankiety wśród czytelników i to wśród wszystkich warstw — na temat «Inżyniera Szerudy». Oceniam tę książkę jako najlepszą z moich, przywiązuję do niej duże znaczenie i doszedłem do wniosku, że muszę ją przerobić. Taka bezpośrednia wymiana opinii i myśli na temat książki korzystna jest dla autora i potrzebna mu Marzyć o niej powinien każdy piszący. Tylko, że w takich niecodziennych warunkach jest zdobyta ta moja...

W pewnym momencie przystanąłem zdziwiony. Mego rozmówcy nie ma koło mnie. Znikł. Widzę go, jak głaszcze dużego czarnego kota, co to sobie leży na oknie konsjerżki. Z zażenowaniem mówi Gustaw Morcinek:

— Lubię koty. W domu miałem dwa, a nawet trzy. Gdy pisałem, jeden leżał na biurku koło lampy, a drugi siadywał mi na ramionach i grzał mi szyję swym futrem — gdy za oknem była noc. Obu już nie ma. Nie żyją. Pisała mi o tym siostra.

Wchodzimy do klubu. Przegawędziliśmy tam chyba ze dwie godziny. Pożegnaliśmy się późno, biorąc ostatnie metro. Nazajutrz Gustaw Morcinek wyjeżdżał do Biviers.

J.

Miasto pachnące sianem

Z obozu w Dachau wyjechałem do Paryża. Źle uczyniłem, bo ten gwałtowny skok ze świata, otoczonego kołczastymi drutami, z jego pomyślanym napisem na bramie: «Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate!...», z jego całym potwornym pięknem, gwałtowny przerzut z tamtego świata płowej bestii do Paryża wywołał oszołomienie i zamęt w umyśle i w sercu. Było się podobnym do małego, bezbronnego dziecka, zabłąkanego w ogromnym szumiącym lesie. Chciało się uciekać stamtąd jak najprędzej, patrzeć w ogromny błębit, słuchać słonecznej ciszy i spotykać z rzadka ludzi, którzy umieją się jeszcze uśmiechać jak dzieci.

— Pojedziesz do Bilvers! — powiedzieli mi dobrzy ludzie w Paryżu. — Tam może znajdziesz wszystko to, czego pragniesz znaleźć.

I znalazłem. Siedzę teraz tutaj zagubiony wśród Alp, odgrodzony od ogromnego świata błękitną i rozstępczną ciszą, w towarzystwie rudego kota i dwóch psów przybłądów, a którzy zawarli ze mną przyjaźń za kawałek chleba. Słucham szumu wiatru w niesłychanie starej morwie, wiatr zaś spada z pod ośnieżonych grani alpejskich, pachnący przestrzenią i sianem. W dolinie szara Isere pławi się w słońcu, a jej szklany szum, gdy jest zestokrotniona cisza w nocy, dochodzi szeptem do mnie.

Siedzę więc teraz godzinami pod tamtą starą morwą i usiłuję zapomnieć o wszystkim, co zostało poza mną. W morwie trzepoce się cichy wiatr i zrzuca mi od czasu do czasu słodki jej owoc w kształcie maleńkiej, miękkiej, żółtawej szyszki, a który smakuje jak wspomnienie pierwszych całowanych ust dziewczyny. Rudy kot ociera się o moje nogi i domaga się pogłaskania dłonią po grzbiecie, a pies jeden lub drugi przychodzi na przemian, siadając obok mnie, kładąc głowę na moich kolanach i patrząc w moje oczy dziwnie ludzkim spojrzeniem. A gdy się jeden lub drugi napatrzy do syta, odchodzi powoli z taką miną, jakby chciał powiedzieć:

— Nie martw się, jutro znowu cię odwiedzę!...

Ja też wcale się nie martwię zwłaszcza, że przyszedł ktoś życzliwy do mnie i powiedział:

— Pojedź do Villard de Lans. Zobaczysz tam polskie gimnazjum, polską młodzież, nowych ludzi, którzy mają jeszcze ten uśmiech dziecka dla przechodnia, no i wszystkim...

— I co jeszcze?

— Miasteczko góralskie, które ci może przypomni twoją Śląską Istebną, potem góry również trochę podobne do twoich Beskidów i strasznie miłych ludzi, a między nimi twoich rodaków ze Śląska beskidzkiego...

Dobrze. Nazajutrz pojechałem z Grenoble do Villard de Lans. Ucisnąłem się w autobusie, autobus zaś wchłaniał w siebie tylu ludzi, że ściany rozchodziły się, na dachu zaś spiętrzyła się tak wielka gromada skrzyń, beczulek, kojców z kurami, worków, bochnów chleba i reszta tych nieśczęśników, dla których już nie było miejsca w środku, że wydawało się — autobus załamał się w kołach i będzie po wszystkim.

Nie załamał się, lecz ruszył z kopyta, z fantazją, potębiąc groźnie na ulicach Grenoble, przeleciał z tupetem przez jakiś okaleczony most nad Isere, zanurzył się w ja-

kieś ogromnie wąskie i kręte uliczki i z łoskotem wytoczył się na czarną szosę, co już teraz zygzałem pięta się na urwiste ściany.

W jaki sposób wywindowaliśmy się po spiętrzonych szkarpach na przełęcz, nie mogę pojąć. Przypominam sobie z dziecinnych lat taki naiwny obraz, widziany u obraźnika na odpuszcie karwińskim, a który (obraz a nie obraźnik) przedstawiał Anioła Stróża, wiodącego małe dziecko, biegnące za motylem nad głęboką, ponurą przepaścią. Chyba taki sam Anioł Stróż osłaniał nasz autobus. Kiedy wypadło mu toczyć się przed jakąś gospodą w najwyższym punkcie przełęcz, odpoczął sobie niezgorzej, szofer z konduktorem przepłukali sobie gardła winem i pogналиśmy w dyrdy po równej drodze.

Do Villard de Lans zajechaliśmy z szumem i z potrzebowaniem, witani radośnie przez wszystkich prawie villardczyków. Dziewczyny w krótkich sukienkach i z malowanymi ustami w kształt serca, nie posiadały rococowych fryzur paryskich, lecz pachniały sianem.

W tym osobliwym miasteczku wszystko pachnie sianem. A więc nie tylko dziewczyny z malowanymi ustami, lecz każda uliczka, przewana szumnie «avenue», każdy «estaminet», i każdy pokój w hotelu o niesłychanie barokowym zwierciadle, i o strasznie szerokim łóżku, w którym z reguły spała jakaś przejeżdżna cesarzowa (w moim łóżku spała jakoby cesarzowa Zyta). Nawet stary, kamienny, romański kościółek o ponurym wnętrzu, ubogi i skromny, nie zalatuje rozwianym dymem kadzielnym czy zgaszonymi świecami, lecz pachnie mocno sianem. Villardczycy przeważali swe miasteczko «Le paradis des enfants», ja bym jednak je chętniej nazwał: «La ville sentant le foin». Za pierwszą nazwą przemawia jednakże wielka ilość dzieci, przysyłanych tutaj na wakacje z dalekich nawet stron Francji. Dzieci te nadają miastu charakter starej babci, która siedzi w pantoflach na przybie, wygrzewa się w słońcu, przypomina sobie dawne lata i patrzy z rozrzwinięciem na harczące stadka wnuków i wnucząt, a które zbyt nie hałasują, lecz chadzają grzecznie lub śpiewają jakieś dziwnie proste piosenki. Dopiero tuż u wylotu «avenue» baraszkują swobodnie w sianie, krzyczą, przewracają się i usiłują wynagrodzić sobie z nawiązką tamto grzeczne zachowanie się na ulicy. Cóż jednak z tego, kiedy tu nie ma rzeki, ani potoku, ani nic podobnego, gdzieby można pluskać się dowolnie!...

Zapach siana przesącza się również do olbrzymiego gmachu «Hotel du Pac», w którym mieści się jedyne w całej Francji polskie gimnazjum i liceum. Niewiele już w nim dzisiaj młodzieży, boć to przecież wakacje. Jedyne ci zostali, dziewczyny i chłopcy, którzy zdają małą maturę. Uczennice są prawie w równym wieku, aczkolwiek jest między nimi również dziewczyna-kapral z Armii Krajowej w Warszawie i dziewczyna, mająca za sobą obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. W obydwóch można dostrzec ślady ich przeżyć, kiedy im patrzeć w niebieskie oczy. U chłopców za to jest większa rozpiętość wieku. Obok 16-letnich «mikrusów» siedzi przy stole 22-letni młodzian jeden i drugi, a tam znowu trzeci, a którzy przyszli do gimnazjum jako dezertjerzy z niemieckiego wojska, po przejściu słynnej kampanii «makistów» na płaskowyżu Vercors.

Jak się okazuje Villard de Lans był ośrodkiem ruchu makistów, a w którym wzięto udział 25 uczestników Polaków, uczniów i profesorów gimnazjum polskiego z dyr. Bergerem na czele. Brały w ruchu tym pośredni udział i panie, gdyż z narażeniem życia przenosiły przez linie patroli niemieckich żywność i wodę dla walczących w bezwodnych i skalistych wądocach Alpes Dauphinoises i na jego stromym urwistym szczycie Moucherolle.

Dyrektor zakładu, p. Berger, opowiada mi o tamtej niezwykłej epopei polskich «maquisards». Było wszystkich — jak wyżej wspomniałem 25 zapaleńców. Walczyli wspólnie z francuskimi «maquisards» i razem z nimi ginęli, okupując swą śmierć z nawiązką na wrogu. Dzisiaj na villardzkim cmentarzu białą się polskie krzyże na ukwieconych grobach obok białych krzyży na francuskich mogiłach. Mogiły polskie — to wspomnienie polskiego cmentarza, przeniesionego do dalekiej Francji. Białe i czerwone kwiaty, na środku orzeł biały, uczyniony z kamyków na czerwonym tle, oraz hełm francuski z polskim orzełkiem. Pod jednym krzyżem różowi się pęk mieczyków.

— To są kwiaty od jego narzeczonej — mówi do mnie cicho jego kolega, jeden z tych, co uciekł z wojska niemieckiego.

— Od narzeczonej?

— Tak. Przyjechała z Paryża, przyszła na grób, pomodliła się, położyła kwiaty, rozplakała się i pojechała...

— Polka?

— Francuzka...

Pobok długi rząd grobów francuskich makistów. Takie same proste krzyże, lecz zamiast kwiatów majolikowe bukiety w doniczkach napełnionych ziemią i duże wieńce uplecione misternie z drutów i z kolorowych blaszek. Widać — Francuzi nawet i tutaj są praktyczniejsi...

Wracamy i mijamy liczne rodzinne groby francuskie zbudowane na zapas, jak wynika z napisów na pomnikach z białego wapienia, a na grobach metalowe podstawki z drucianymi wieńcami kolorowymi. W kącie cmentarza zaś czerni się wielki stos zardzewiałych wieńców, a które zdołały już w dostatecznej mierze zadokumentować żal żywych za umarłymi.

W olbrzymiej jadalni zakładu przytłumiony gwar. Przy stolikach siedzą uczniowie, uczennice, grono nauczycielskie, dwóch księży prefektów, służba i goście. Czekamy wszyscy na p. dyrektora Bergera. Telefon go zatrzymał w kancelarii, lecz już idzie. Gwar milknie, jeden z księży prefektów odmawia głośno modlitwę przed jedzeniem, uczniowie i uczennice, mający dyżur, roznoszą jeszcze. W sali nastrój jasny, swobodny, rzekłbym — jakiś rodzinny. Młodzi szybko uwijają się z kolacją, poczym przynosi na stoły skrzynie z kartoflami, kartofle wysypuje na stół i każdy zaczyna je obierać.

— Co to robią? — pytam p. dyrektora

— Kartofle obierają! Wszyscy pomagają w ten sposób kucharce...

Patrzę i zżymam się mocno. Chryste Boże! Przecież to nie obieranie lecz struganie!... Odezwał się u mnie nawyk, wyniesiony z obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie obierałem kartofle przez 4 lata i 7 miesięcy, a które trzeba było tak cieniutko strugać, by jak najmniej było obierzyn i odpadków. Inaczej groził supeł!... A tu takie grube obierzyny, jakby ktoś klocek drzewa obrał toporkiem!...

Dyrektor uśmiecha się i tłumaczy mi, że to nie. Wszak prosiaki zakładowe też chcą jeść, a młodzieży też miłszy taki prosiak o grubej słoninie, aniżeli wymizerowany chudzielec. No nie?...

Ha, jeżeli tak, to już nie nie mówię. Lecz w pierwszej

chwili porywało mnie, by podejść do pierwszego z brzegu stołu i zawołać:

— Popatrzcie, tak się obiera kartofle! — i pokazać im, stołu i zawołać:

— To wy macie zakładowe prosiaki? — dopytuję zdziwiony.

— A jest tam coś tego. Przecież mamy własną fermę, więc muszą być i prosiaki. Łąki też mamy i dzisiaj chłopcy i dziewczyny, którzy już złożyli maturę, lub ją dopiero jutro składać będą, grabili siano z panami profesorami.

— Grabili siano?...

— Grabili siano.

Pomyślałem sobie, że to jednak dziwne miasteczko i dziwni w nim ludzie. Nie tyle już mnie teraz dziwił ów pomnik przed ratuszem, a który składał się z obeliska, a na jego szczycie z rozwalonego na wznak srogiego orla czarnego z połamanymi skrzydłami, a na orle drobnego koguta piejącego zwycięsko, nie tyle mnie już dziwiły te krowy villardzkie, szpetnie cuchnące, bo smarowane jakimiś mazidłami, by je uchronić przed ukąszeniem licznych bąków, nie dziwiły mnie już te słodkie dziewczyny bez rokokowych fryzur, lecz pachnące sianem — jak zdziwiło mnie teraz tamto grabienie siana przez panów profesorów i ich wychowanków.

Pan dyrektor Berger widzi moje zdziwienie i uśmiecha się. Uśmiecha się tak samo, jak wówczas, kiedy to w teatrze w Cieszynie i w Bielsku ukazał się ze swoim chórem nauczycielskim z Zaolzia na scenie i kiedy po odśpiewaniu «Sztandarów na Kremlu» teatr oszalał. Dosłownie oszalał. Ja się wtedy — nie chwalać się — może najbardziej darłem i klaskałem, opętany radością, że mogę słuchać coś podobnego. A pan dyrygent Berger nie. Kłania się tylko i uśmiecha...

Uśmiecha się i teraz, kiedy mi opowiada o chórze polskiego gimnazjum w Villard, i o jego zwycięstwach. W uśmiechu tym jest to samo, co każdy wędrowiec dostrzeże w urodzie śląskich Beskidów. Dyrektor Berger poszedł na emigrację, lecz zabrał w swe serce i w swoje oczy ten dziwny urok beskidzkiej ziemi, o której mówi podanie, że została stworzona z uśmiechem Boga... Bo inaczej trudno to sobie wytłumaczyć.

Uśmiecha się tedy p. dyrektor Berger i opowiada mi o swoich rozśpiewanych chłopcach i dziewczynach z gimnazjum villardzkiego, i o tym, jakie to cuda czynił ich śpiew. Dla poparcia tego wszystkiego pokazuje mi spory plik recenzji francuskich i polskich, listy polskich emigrantów i znowu entuzjastyczne recenzje przygodnych korespondentów i zawodowych krytyków muzycznych. Z opowiadania tego wynika, że chór gimnazjum villardzkiego, to coś w rodzaju owego greckiego Orfeusza, którzy poszedł do piekieł, by wyzwoić, swoją Erudikę. Wiemy z tamtego opowiadania, że śpiew jego liry był tak cudowny, iż zdołał ujarzmić nim dzikie bestie i kamienie wzruszyć do łez. Rozśpiewany chór gimnazjalny w Villard czynił podobne cuda. Nie takie same, lecz bardzo podobne.

A to było tak: przychodzi do gimnazjum jakaś sroga postać urzędnika z francuskiego ministerstwa oświecenia publicznego, wita go chór francuską Marsylianką na czele. Wzruszona sroga postać urzędowa przełyka łzę ukradkiem, czyści chusteczką okulary, chrząka dla niepoznaki, a potem już wszystko w porządku. Przyjeżdża nawet sam minister oświaty, wita go polski chór francuską Marsylianką na czele. Pan minister słucha i słucha, coś sobie głęboko waży w mądrej głowie, a potem wstaje i powiada wzruszony, że po raz pierwszy słyszał Marsyliankę wykonaną tak pięknie!... Chór występuje w Villardzie, występuje w okolicznych miastach i miasteczkach, śpiewa na rzecz huma-

nitarnych towarzystw i instytucyj, śpiewa na rzecz polskich potrzeb kulturalnych i humanitarnych, występuje z kolegami dla francuskiego garnizonu, śpiewa co niedzielę w kościele villardzkim na sumie po polsku i po łacinie.

W rezultacie największymi przyjaciółmi polskiej w Villardzie, to mieszkańcy Villard i okolicy. Przyjaźń ta została jeszcze bardziej pogłębiona ofiarami, jakie poniosła polska młodzież na rzecz wolnej Francji, walcząc w szeregach jej maquisards. Dzisiaj każdy Francuz uśmiecha się przyjaźnie do polskiej dziewczyny i do polskiego chłopca, wita serdecznie na ulicy i pozdrawia życzliwie pana dyrektora i grono profesorskie, a młoda dziewczyna villardzka uważa to za niestychany zaszczyt, jeżeli polski maturzysta uśmiechnie się do niej na drodze, i tak jej, jakby siedziała na złotym koniu. Potem długi czas chwali się przed koleżankami swoim szczęściem.

Największą chyba miłość do polskiej młodzieży w Villard żywi chyba tamtejszy ksiądz proboszcz. Od chwili bowiem — a chwila ta trwa już cztery lata — kiedy chór gimnazjalny zaczął śpiewać polskie i łacińskie pieśni podczas każdej sumy, kościół villardzki bywa przepełniony. Ksiądz proboszcz zaś zaciera dłonie, raduje się szczerze, boć stąd i większa chwała dla Boga i zbawienny pożytek

dla dusz, oraz możliwość przygadania mocno z ambony liczny parafianom, jeżeli zajdzie tego potrzeba. A gdy chór przy ołtarzu śpiewa po polsku, ksiądz proboszcz przy ołtarzu gada z Bogiem w królewskim języku i doprasza się Jego łaski dla tamtejszych najdroższych mu parafian z dalekiej Polski.

Mało tego. Polskie kolędy tak mocno oczarowały serca Francuzów, że kilku akademików francuskich uprosiło pana dyrektora, by je przetłumaczył na język francuski, przepisałi sobie nuty i zaczęli je wprowadzać do kolęd francuskich. I dzisiaj w wielu kościołach francuskich można słyszeć ku zdumieniu, jak Francuzi w okresie Bożego Narodzenia wyśpiewują polskie kolędy po francusku.

Tamto więc moje porównanie chóru gimnazjalnego w Villard do Orfeusza, wzruszającego swą muzyką kamienie, to chyba nie przesada.

Istotnie, osobliwe to miasteczko i dziwni w nim ludzie.

Kiedy ich opuszczam, żal wielki ściska serce, gdyż tak człowiekowi z nimi, jak z najmilszymi braćmi, a których wypada znowu opuścić. I nie wiedzieć, czy ich jeszcze będzie można w życiu spotkać.

Ale chyba tak! Jeżeli już nie we Francji, to napewno w Polsce!..

STANISŁAW BALIŃSKI

Modlitwa polska

Panie! My! którzy znamy tysiące Twoich twarzy
Skrwawionych, łonających, omdlatych, ścierpiętych
Błagamy Ciebie, płynąc do Twoich ołtarzy,
Pokaż nam tę nieznaną. Zjaw się uśmiechniętą.

Wymij ciernie ze skroni, zetrzyj krew czerwoną
Zmyj oczy obolałe, które dobrze znamy,
I uśmiechnij się do nas, jak stary listonosz,
Co z dobrą wiadomością przystanął u bramy.

Niech wierna Twa życzliwość nasze serca muśnie,
Jak lazurowe słońce kwietniowej Niedzieli.
Prosimy Cię o uśmiech, o zwyczajny uśmiech,
Bo go nie pamiętamy, bośmy zapomnieli.



MAŁGORZATA HOŁYŃSKA

Powrót

W ciepłe odcienie
pofalowany wieczór
leży u drzewi,
otwartych siłą przeczuć,
że.... może.... ty....

Księżyc —
utopiony w akacjach
strzeże — pustego domu.

Świstem pociągu czas mierzę:

Co — wieczór —

na — dużych — i

małych —

stacjach —

czyjeś ramiona czekają.

Ra-pa-tria-cja....

Siódma trzydzieści — z Tuluzy....

Niebo,
błękitny pątnik
zszywa dwa horyzonty:
rozdarła wojną jak nożem,
łatane nitką — pokoju.
Ponad tym most chcę przerzucić
na żwir mej ścieżki,
pod nogi twoje....
W minuty pomiędzy zmierzchem,
(siódma trzydzieści z Tuluzy)
czekanie moje jak wiadro
w studni wieczoru zanurzam.
Myślę o wszystkim — — —

i o tym,

że może iść będziesz stukotem
stukotem.... drewnianej kuli....

.... jeśli ci ramion zabraknie

w uścisku....

moje cię wiernie przytula....

Księżyc — — —

zapada w zieleń akacji....

Jadą pociągi.

Chcę wierzyć.

Dlaczego jednak nie wracasz?

Stanisław Moniuszko

Warszawa. Dawne, szczęśliwe czasy. Jesteśmy w Towarzystwie Muzycznym. Wchodzimy tam z myślą o Moniuszce, z sercem Moniuszką wypełnionym. Na ścianach, w gablotach, szafach tam mieszczących się znajdujemy to, czego szukamy. Rozglądamy się. Poważne, szczere oczy po-
czciwej twarzy pana Stanisława patrzą na nas przyjaźnie z za okularów. Wychyla się twarz, znana nam dobrze, bliska, wyobrażona na fotografiach, w rysunku, sztychu, na płótnie, w medalu, w rzeźbie. Otacza nas atmosfera pro-
stoty. Trwamy w ciszy, w skupieniu. Przechwytyjemy ja-
kieś szmery, szepty, jakieś dźwięki miłe. Nagle stary ku-
rant poczyna nieśmiało grać. Znowu cisza. Oglądamy roz-
maite przedmioty, gdzie wypisane są dzieje życia i sztuki
tego, który jak ptak Boży ludziom pięknie śpiewał. Wie-
lotysięczne przedmioty owe zawierają prawie wszystko, co
jest istotne w historii pana Stanisława. Są to niby poro-
zrucane czełonki księgi sprawy Moniuszkowskiej — nale-
ży je tylko we właściwe szeregi ułożyć.

Tak, jest wszystko gruntownie opowiedziane w tych nie-
zliczonych rękopisach, w mnogich listach, notatkach, do-
kumentach, afiszach, pamiątkach.

O czemże pisał gęsto zapisana księga Moniuszkowska?
Opowiemy to pokrótce.

Ród pana Stanisława dawno był znany. Wywodził się z
rodu szlacheckiego, z ziemi podlaskiej. Pieczętują się Mo-
niuszkowie herbem Krzywda. Gospodarowali w ciągu wie-
ków zacnie, bywali wśród nich i książęta i urzędnicy. Dziad
naszego Stanisława, również Stanisław, sędzia, człowiek
zamożny, osiadł na Litwie. Życie ojca twórcy stoi pod zna-
kiem chwały wojennej. Uczestniczył on w kampanii roku
1812 w charakterze adiutanta sztabu Murata. A kiedy
sprawa napoleońska została przegrana, Czesław Moniuszko
osiada w ziemi mińskiej, w majątku Ubiel.

Pan Kapitan był skory nie tylko do wojaczki, ale i mu-
zom służył, a w szczególności za pomocą ołówka. Wyda-
rzenia wojenne, osobistości sławne, osoby otaczające itd.
za temat panu Czesławowi były — ręka jego utrwała m.
inn. przejście przez Berezynę, postać Napoleona, Pagani-
niego, panią Elżbietę (z domu Madziarską, poślubioną w
roku 1818), matkę Stasia, jego samego muzykującego.

W 10-tym miesiącu małżeństwa państwa Moniuszków
— 5 maja 1819 roku — ujrzał światło dzienne w Ubiels-
kim zakątku nasz sławny pieśniarz. Już w pierwszych la-
tach swego dzieciństwa muzyka wabi go szczególnie i gdy
tylko jego palce były dość silne, aby móc uporać się z
klawiaturą, jego matka i niejaki pan Piotr Karafa - Kor-
but, miński muzykant, pierwsze nauki mu daje.

W roku 1827-ym 8-letni Moniuszko zjeżdża z rodziną do
stolicy dla ogólnej edukacji. Niedługo jednak trwa tam
jego pobyt. Sprawy finansowe pana Czesława coraz gor-
szy obrót przybierają i trzeba powracać w dawne strony.

Rodzina Moniuszków osiada w Mińsku. Stanisław chodził
do gimnazjum, a muzyki uczy się u jakiejś miejscowej
« znakomitości ». Krótkie, skromne było jego mińskie
kształcenie się — i ogólne i artystyczne. Jako 15-letni
chłopiec ze względu na słabe zdrowie szkołę opuszcza.

Następuje wreszcie w jego życiu artystycznym chwila
przełomowa : w roku 1837 wyjeżdża Moniuszko do Ber-
lina. Tym razem już z celem określonym : prawdziwego
poznania nauki muzycznej. Moniuszko systematycznie za-
prawia się w Berlinie w kunszcie harmonii i kontrapun-

ktu. Po rocznych studiach zjawiają się pierwsze jego kom-
pozycje (3 pieśni do tekstów Mickiewicza «Sen», «Nie-
pewność» i «Moja Pieszczotka»).

Niemcy opuszcza w roku 1839. Jedzie do Wilna. Tam
zmuszony jest od razu wziąć się do zarobkowania.

Rozpoczyna się biedowanie Moniuszki, biedowanie prze-
śladowane go przez całe życie, zmuszające go wszystko co
potrafi uczynić, zaraz, szybko na pieniądź wymieniać.

I oto drobny, chromający młodzieniec biega po domach
wileńskich za kawałkiem chleba, udzielając lekcji forte-
pianowych. Duszę Moniuszki nie tylko dźwięk wypełnia,
ale i uczuciem romantycznym coraz bardziej nabrzmiewa
ku pannie Aleksandrze Müllerównie. Obraz jej już unosił,
kiedy do Berlina wyjeżdżał. Sprawa jest całkiem poważna
— bo oto 21-letni młodzian staje się małżonkiem ukocha-
nej Olesi. Kłóś dostrzegłby zapewne w tym fackie lekko-
myślność ze strony Pana Stanisława wobec jego mizernej
sytuacji, ale poważny ten krok życiowy płynął z innych
ródół: z przyrodzonej bezinteresowności jego życiowej, z
prostoty mu wrodzonej, z naturalności jego stanu uczuć.
Moniuszko wchodził w życie i kroczył przez nie z szeroko,
pogodnie otwartymi oczami, zawsze schylając głowę z po-
korą przed Bogiem.

Nowe warunki stwarzają nowe wymagania. Moniuszko bie-
rze na siebie nowy trud. Zostaje organistą przy wileńskim
kościółce św. Jana.

Tęsknota twórcza wzmaga się w nim. Wyraża się ona
w raz po raz rzucanych na papier koncepcjach o charak-
terze religijnym, w kompozycjach scenicznych, wreszcie w
pieśniach, stanowiących wówczas główną treść jego wy-
powiedzi artystycznej.

W miarę tego jak twórca wypełniał swą tekę kompozy-
torską coraz większą ilością «śpiewek» (do słów Mickie-
wicza, Malczewskiego, Zana, Odyńca i t. d.), które wносиły
do zacisza polskich domów melodie z czułej duszy wy-
śpiewane, stawał się coraz bardziej popularny wśród spo-
łeczeństwa. Istotnie, w ciągu pierwszych lat swego po-
bytu w Wilnie, pieśń Moniuszki toruje mu drogę do praw-
dziwego z nim zbliżenia. Nie dokonały tego ani kompo-
zycje religijne, a tym bardziej muzyczne «wkładki» po-
śpiesznie dla zarobku pisane, które zresztą sam autor uwa-
żał za «nudną szkolną robotę». Pierwsza taka robota po-
wędrowała z Wilna do Lwowa na ręce samego Fredry do
jego «Noclegu w Apeninach», wystawionego tam sto lat
temu. Nie pomnażały również sławy Moniuszki pisane
przez niego operetki, jak np. «Loteria».

I staje się rzecz dziwna, nieoczekiwana, tajemnicza :
bezpośrednio po owych trwożliwych, pozbawionych ru-
mieńca sztuki prawdziwej wypracowaniach, owych «Ape-
nińskich noclegach», «Nowych Don Kiszotach», «Lote-
riach», «Wodach cudownych», lub «Żółtych szlafmy-
cach», Moniuszko piorunem natężnienia uderza. Polskie nie-
bo muzyczne rozświetla się nagle, nieznana dotychczas jas-
nością — powstaje «Halka». Piorunem tym błysnęła 28
letni twórca.

Wprawdzie brakowało «Halce» wileńskiej z roku 1847
kilku kapitalnych pomysłów instrumentalnych i wokal-
nych, które dopiero w dziesięć lat potem się skonkretyzo-
wały, ale nie pomniejszało to bynajmniej faktu narodzin
pierwszego, wielkiego dramatu, w przepysznej polskiej li-
ryce dźwiękowej ujawnionej.

Moniuszko zdawał sobie sprawę, że jego wola artystycz-

na dokonała rzeczy niezwykłej. W liście do Józefa Sikorskiego, warszawskiego muzyka, w kilka dni po wykonaniu « Halki » pisze m. inn.: «...dopókim widział Halkę moją tylko w partyturze, przyznam się tobie otwarcie, wątpiłem w niektóre zuchwałstwa, jakich się w niej dopuściłem. Po wykonaniu jednak arcymiernem tego arcydzieła mego, ze spokojnym sumieniem czekam, aż nadejdzie pora jej wydzwięczenia (w Warszawie)». Dalej rozwodzi się Moniuszko w swym liście nad dobrocią, ofiarnością wykonawców wileńskich. «Ile ja miałem pracy, spisałby tylko na wołowej skórze, i byłbym zginął niezawodnie, gdybym nie znalazł we włoskim śpiewaku Bonoldim więcej niż rodzzonego brata. Ten mnie dzielnie wspierał, wyczuwając głosy solowe i niektóre chórowe — sam śpiewał partię Jontka, która sądząc sercem kompozytorskiem, nigdy lepiej oddana nie będzie... Powiadają ludzie, że cały akt drugi ma być doskonały... Tak więc słyszałem moją pocziwiał Halkę...

Podziw nas dzisiaj ogarnia, kiedy uświadomimy sobie, że Moniuszko mógł dzieła swego dokonać w warunkach życia wileńskiego — wówczas monotonnego, całkowicie pozbawionego jakiegokolwiek ruchu w zakresie działalności muzyczno-teatralnej. Ależ czyż nie należał on do rasy artystów, którzy żyjąc we własnym świecie wyobraźni, dla których świat realny jest w nich samych, a własna fantazja dyktuje im prawa czynu artystycznego?

Z wykonania « Halki » — w dniu 1 stycznia 1848 roku — Wilnianie wynieśli wrażenie ograniczone, była ona bowiem przedstawiona publiczności na estradzie koncertowej — bez dekoracji i akcji, a jedynie z jej omówieniem. Warto na tym miejscu przypomnieć, że Włodzimierz Wolski, autor libretta «Halki», napisał je w ciągu czterech dni, a miał wówczas aż całe lat 21.

Stanisław Moniuszko pracuje w Wilnie bez wytchnienia — ledwie wypisze ostatni takt jakiejś melodii dla swych słynnych «Śpiewaków domowych», przeznaczonej, zabiera się do pisania kameralnych utworów instrumentalnych, względnie do sławnej «Bajki» — uwertury koncertowej, a ledwie zamknie ostatnią stronę jej partytury, jest już przy pracy nad kantatą «Mildą», lub «Litanią Ostrobramską, albo bierze «na warsztat» operę «Betty» (według Scribe'a), operetkę «Jawnutę» (do słów Książnina), lub zakasuje rękawy przy robocie «wkładki» różnych muzycznych do «Hamleta», «Kupca Weneckiego», względnie przerabia na fortepian fragmenty z partytury «Fausta», «Księcia Radziwiłła» — i tak bez końca... Bez mała lat dwadzieścia zamęcza się Moniuszko od rana do nocy w drogim mu Wilnie, drogim bez wątpienia, bo chociaż z sił i trudu opada, chociaż tchu mu już brak w piersiach, ale przecież i uznanie dla swej sztuki ma, i szacunek sobie zdobył, i ludzie go bardzo lubią, a w domu jest Olesia umiłowana i dzieci kochane, nie mówiąc już o tym, że tyle pieśni serdecznych w tym drogim grodzie powstało i «Halka» na świat przyszła.

A jednak marzyła się Moniuszce Warszawa. Instynkt artystyczny wiodł go do miasta, gdzie wreszcie mógłby usłyszeć tę swoją «Halkę» na scenie wielkiej, w wykonaniu prawdziwych artystów, a nie przygodnych wileńskich amatorów. A zresztą czas już był wielki, aby móc myśleć o poprawie bytu coraz liczniejszej rodziny.

W dniu 1 stycznia roku Pańskiego 1858 wreszcie zapowiedział operowy afisz warszawski pamiętne przedstawienie: premierę « Halki ». Tryumf odniósł twórca nieoczekiwany. Nie tylko Moniuszko pasowany jest na wielkiego twórcę, ale otwierają się przed nim nowe możliwości życiowe: proponują mu objęcie stanowiska dyrygenta Opery stołecznej.

Drugi rozdział rozpoczyna się dla twórcy. Wreszcie będzie mógł pełniej muzycznie odetchnąć.

Zanim twórca zacznie pełnić swe obowiązki — na jesieni roku 1858 — następuje przyjemna eskapada do Paryża — i w tym bardzo mu dopomagała żona prezesa teatrów warszawskich, życzliwa pani Maria Kalergis-Muchanowowa, uczennica Chopina. Ale Moniuszko nie wybiera się do Francji wyłącznie w celach turystyczno-artystycznych, albowiem włacza między swe rzeczy nowe libretto z myślą, że a nuż mu się uda w czasie podróży na muzykę je przełożyć. I w samej rzeczy, latem, w ciągu kilku dni, pisze w Paryżu «Flisa».

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że warszawskie życie Moniuszki potoczyło się wygodnym tonem. Skądże? Moniuszko bodaj więcej jest zapracowany, aniżeli dawniej. Jako twórca pracuje swym zwyczajem: dużo, gorączkowo, a ponadto ma obowiązki dyrygenckie, nauczycielskie — jest profesorem harmonii w Konserwatorium, przygotowuje do druku pracę teoretyczną, ten przedmiot obejmując i wiele innych ma spraw, z życiem kulturalnym stolicy związanych».

Ale to już było takie przeznaczenie Moniuszki wlecznie orać i... stale biedę klepać, bo i ta mu w Warszawie wiernie towarzyszyła, i nieraz trzeba było prosić wydawcę o jakąś zaliczkę 10-cio czy 5-rublową.

Ledwo osiadł Moniuszko w Warszawie, a już jego myśl muzyczna krąży wokół tekstów trzech libret, mających służyć za kanwę literacką do «Rokiczan», «Hrabiny» i «Pawli».

Z pasją ima się Moniuszko «Hrabiny». Późną jesienią roku 1859 pisze: «okrutnie jestem zajęty instrumentowaniem Hrabiny i polowaniem na Wolskiego, który mi się jak lis przed chartem po knajpach kryje — a tu co moment potrzebuję mieć tego prałata pod ręką».

W niespełna trzy miesiące «Hrabina» wchodzi na afisz teatralny. «Hrabina», owo wypieszczone — jak się wyraża jeden z krytyków warszawskich — dziecko — imagi-nacji kompozytora».

Mija zaledwie 11 miesięcy, a pan Stanisław znowu zjawia się przed publicznością ze świeżą księgą, usianą drobnymi punkcikami nutowymi, w których zaczarował na wieczną rzecz pamiątkę jeden z najmilszych klejnotów swej liryki: «Verbum Nobile».

Budowniczy Opery Narodowej nie ustaje w swym dziele twórczym. Szuka w sobie nowych sił, aby gmach z mozołem przez siebie wydzwigany całą mocą swej inwencji i eksperiencji wzmocnić, aby wesprzeć go potęgą ukochania artystycznego. Dłużej tym razem, aniżeli zazwyczaj, wnika we własnego ducha. Zresztą i niezwykłe wypadki szykują się w Ojczyźnie i płomieniem ją obejmujące stwarzają nieprzyjemne warunki dla realizacji górnych zamierzeń Moniuszki. Niezależnie jednak od rozgrywających się tragedii ma w sobie twórca tyle stanowczości, tyle energii, że zbliża się do celu.

Premiera nowego dzieła, «Strasznego Dworu», odbyła się 28-go września 1865 roku. Druga kolumna granitowa została wniesiona do wejścia do gmachu polskiej Opery Narodowej.

Zastanawiano się dużo nad wartościami «Halki» i «Strasznego Dworu» w ich wzajemnym porównaniu. Ale czyż możliwy jest tutaj jakiś pozytywny wniosek ostateczny? Bo jakże można orzec coś definitywnego, kiedy tu i tam ma się do czynienia z najswobodniej rozpostartą wstęgą dźwięków, najserdeczniej, najczulej, najsubtelniej ze sobą powiązanych, kiedy tu i tam wzlot liryczny sięga ideału, kiedy z instrumentów padają iskry rytmów najbardziej zawodackiego animuszu, kiedy potrafią one służyć za osno-

wę dyskretną dla głosów, kiedy z palety barw orkiestrowych i wokalnych ręka artysty czerpie światła i cienie po mistrzowski i w powabne efekty je układa, kiedy operuje on tak, aby drogą kontrastujących ze sobą wartości artystycznych — elementu liryki, dramatu, opowieści, gawędy, romantycznego uniesienia — osiągnąć harmonijną całość, kiedy i w «Halce» i w «Strasznym Dworze» niemal każda scena, każdy obraz stoi pod znakiem świadomości rasowego znawcy ducha i techniki sztuki scenicznej.

Ledwie umilkły odświętne tryumfy przedstawień «Strasznego Dworu», Stanisław Moniuszko planuje już coś nowego. A pomysł Moniuszkowski, rzecz prosta, musi w formie przyoblec. Powstają więc «Sonety Krymskie» do słów Mickiewiczowskich. Potem przychodzi kolej na operę «Pawie»...

Już niedługo miał jednak wysilać swój mózg i serce mężczyź. Kres jego spracowanego żywota był bliski.

Upływa kilka miesięcy. W dniu 4 czerwca 1872 roku sądzono było Moniuszko na wieki odpocząć. Śmierć zabrała go nagle.

Dobiegamy do ostatniej strony otwartej książki dziełowy Moniuszkowski. Jeszcze jeden dokument wpada nam w oczy: mała spłowiata fotografia: tłum bez końca — kościół św. Krzyża — Krakowskie Przedmieście — niezliczone tłumy kierują się w stronę Powązek — ukochanego Pana Stanisława odprowadzają — suną — w ciszy — z bólem i wdzięcznością w sercach i za «Halkę» i za «Strasznego Dwór» i za «Prząśniczkę» i za «Zosię» z «Widm» i za

«Starego Kaprała» i za setki innych uroczych pieśni i piosenek, zrodzonych z polskiej ziemi, płynących z polskiego nieba...

W ciągu wielu lat, aczkolwiek zdawano sobie sprawę z niezwykłości artystycznego zjawiska Moniuszkowskiego i wiedzano o jego wkładzie narodowym do skarbnicy polskiej pieśni i polskiej sztuki teatralnej ale nie oceniano dostatecznie oryginalności tego zjawiska i zasięgu jego działania.

W miarę jak oddalano się od czasów Moniuszkowskich, w miarę patrzenia na dzieło Moniuszki z punktu widzenia rozwoju historycznego Opery polskiej i stopnia wagi, jaką to dzieło miało w stosunku do przeszłości i przyszłości, uświadomiono sobie dopiero, jak wielkim reformatorem na gruncie polskim jest Stanisław Moniuszko, ile czystej krwi artystycznej wlał on do żył swych następców. Boć przecie przed Moniuszką w Polsce albo obcy dźwięk w teatrze się rozlegał (w czasie Sasów), albo później jeno nikły, anemiczny, naiwny produkt na scenę przenikał, względnie wciskał się tam utwór tradycyjno-koturnowy. Moniuszko wkroczył, niby rolnik i siewca arcywprawny, na grunt polski. Przeorał go systematycznie. Pieśni i operze polskiej dał życie prawdziwe, odrębne. Jedno jest prawdą: aby móc zachwycać się należycie sztuką Moniuszki, trzeba oddychać klimatem polskim, jak wtedy, kiedy słuchamy skargi Kopnickiej, kiedy wpatrujemy się w melancholię Chełmońskiego, albo np. wtedy, gdy bije w nas dziarskość Trylogii Sienkiewiczowskiej.

Szumia jodły

Utykając, ale tylko trochę, szedł sobie ulicami Warszawy pan Moniuszko i był rad. Pan Stanisław Moniuszko był zawsze rad. Choć niezawsze był powód do tego. Bo muzykowi w Polsce przed wiekiem trudno było utrzymać się samemu. Cóż dopiero wyżywić żonę i siedmioro dzieci. To też kłopoty pieniężne nie przestawały nigdy trapić znakomitego kompozytora. O tym zresztą, że był znakomity, wiemy my dziś. Współcześni nie od razu poznali się na Moniuszce. Do niedawna przecież miał w Wilnie niezbyt zaszczytną posadę... organisty... Tak. Trzeba było z czegoś żyć, więc wielki Moniuszko był małym organistą w kościele św. Jana. I, jak się to mówi, śpiewał w tych czasach wcale cienko wileński organista. Bieda pchała się do niego drzwiami i oknami. Raz koncertował w berlachu, bo nie miał całej pary butów. Kiedy indziej mu zabrano za długie fortepian, przy którym komponował swoją nieśmiertelną «Halkę».

Teraz, w Warszawie, dzieje się trochę lepiej. Teraz, to znaczy w roku 1858, został przecież kapelmistrzem w teatrze. Ba, wystawiono nawet «Halkę»: w Wilnie wcześniej w Warszawie dopiero wtedy, choć nie poszło z tym zbyt łatwo. Wystawienie opery kosztuje dużo pieniędzy. A Moniuszko był mało znany. (Nie ufano jego talentowi. Głośni śpiewacy warszawscy nie chcieli nawet zajrzeć do przysłanej przez niego partytury. Na szczęście udało się «Halce» przemóc tę niechęć. A że nie tylko śliczna była część muzyczna tego genialnego utworu, ale dorównywało jej i libretto, napisane przez zdolnego poetę Wolskiego, więc zatriumfowało wielkie dzieło tak, że tym razem miał z czego być zadowolony pan Moniuszko.

Szedł sobie tedy przez Nowy Świat, zaplątany w fałdy sutego surduta, z poczciwą, ogoloną twarzą, życzliwymi oczami zza okularów, wodząc po ludziach i domach. Po tem utykając, ale tylko trochę, skreślił w jedną z bocznych

ulic. Wznoszono tu nowy budynek. Podniósł Moniuszko wzrok ku rusztowaniu, kiedy naraz doszedł go świeży głos:

*Szumia jodły na gór szczycie...
Szumia sobie w dal,
A młodemu tęskne życie,
Gdy ma w sercu żal.*

Ledwie nie wypuścił pliku nut z pod pachy zdumiony muzyk. Wprowadziła popularność jego utworu rosta w zadziwiający sposób. Wszystkie fortepiany, wileńskie najpierw, a potem i warszawskie, odzywały się jego melodiami. Ale murarz, śpiewający przy robocie «arię Jantka?»... No, no... To go zaskoczyło. A może jeszcze więcej to, że zaśpiewał doskonale. Pewnie, że nie tak uczenie, jak Dobrski w teatrze. Ale za to z ileż większą prawdą, o ile serdeczniej!

Moniuszko nawet nie wiedział, jak się znalazł na zbitych z desek schodach, wiodących na rusztowanie. Torował sobie po nich drogę piękną laską, którą dostał jako upominek od przyjaciół wileńskich. W surducie, białym tu i ówdzie od wapna, stanął przed chłopakiem, który maszerował właśnie na najwyższe piętro z naręczą cegieł.

— To pan śpiewałeś? — zapytał muzyk, nie bardzo pewnie.

— A cóż to mi nie wolno? — obruszył się młodzieniec.

— Naturalnie, że wolno... Tylko... co to było, co pan śpiewał?

Murarz obrzucił obcego podejrziwym spojrzeniem:

— Jakto co było? Śpiewka i tyle!

— Ale czyja? — dowiadywał się niecierpliwie kompozytor.

— Jakto czyja? Moja, bom ją śpiewał.

Przeciągnęła się trochę mina mistrza.

— Hm! To pan nigdy nie słyszał o Moniuszce?

Ale młody murarz miał już dość tej indagacji.

— Ja, panie, nie mam czasu — rzekł, bez ceremonii, odsuwając natręta. — A o żadnym takim nie słyszałem.

Ale uparty pan w okularach nie dawał za wygraną. Kto wie, czy to nie jest najwłaściwszy rodzaj popularności, myślał z rezygnacją, być śpiewanym czy granym, choć ludzie nie wiedzą, czyją śpiewają lub grają melodię. To jest «ich» utwór, jak się słusznie wyraził tamten.

— Czy pan nie miałby ochoty uczyć się śpiewu? — zaptał, chwyciwszy robotnika za ubielony fartuch.

Aż ten zdziwił się nie na żarty.

— Uczyć? A poco? Czy to ja już nie umiem?

Tu zaczęto się wtajemniczanie ciemnego najzupełniej śpiewaka w sprawy jego przyszłego kunsztu. Bo Moniuszko postanowił się zająć murarzem i kształcić jego piękny głos.

— Zgoda tedy? — zakończył tę rozmowę, podając kartę ze swoim adresem i bilet na wieczorne przedstawienie «Halki».

— Więc to pan ułożył tę śpiewkę! — zrozumiał wreszcie młody adept! — I usłyszę ją dziś w teatrze!...

Brał w powalaną rękę ostrożnie większą białą kartę i mniejszą niebieską.

I w trzy lata później śpiewał pieśń o «szumiących jodłach» znowu. Ale tym razem nie na ulicznym, z desek zrobionym rusztowaniu. Nie, skądże znowu!

Był Jontkiem na deskach wielkiej operowej sceny warszawskiej.

STANISŁAW MAYKOWSKI.

CYPRIAN NORWID

Moja piosenka

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba

Tęskno mi, Panie....

Do kraju tego, gdzie winą jest duża
Popsować gniazdo na gruszy bocianie
Bo wszystkim służą

Tęskno mi, Panie....

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie
„Bądź pochwalony!”

Tęskno mi, Panie....

Tęskno mi jeszcze i do rzeczy innej
Której, już nie wiem gdzie leży mieszkanie
Równie niewinnej

Tęskno mi, Panie....

Do beztęsknoty i do bez-myślenia
Do tych, co mają tak za tak — nie za nie —
Bez światło-cienia

Tęskno mi, Panie....

Tęskno mi ówdzie, gdzie kłóż o mnie stoi?
I tak być musi, choć się tak nie stanie
Przyjaźni mojej!

Tęskno mi, Panie....

STANISŁAW BALIŃSKI

Wojna bez pieśni

W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez skargi,
Nie trzeba słów krzepiących i fanfar bojowych :
Dość hasel wymawianych przez pokorne wargi,
I gestów przed którymi schylały się głowy.

Zawiodły słowa wzniosłe, nie stały się ciałem,
Ale garścią popiołów na pobożowiskach...
Przybądź nowa Ojczyzna, jaką mieć cię chciałem,
Togom i wieńcom — obca, zwykłym ludziom — bliska!

Nie bójmy się milczenia. W wojnie i nieszczęściu,
Gdy zamiast ludzi niebo przemawia i bije,
Słowo niech będzie skąpe lecz ma siłę pięści,
A pieśń niech na dno serca zejdzie — i tam żyje.

W sobie odnajdziesz zawsze wierny szepł miłości,
Co drga, jak wieczna gwiazda, naprzeciw złu świata,
Idź jak szedłeś przed laty przez ogród młodości,
Po stokrotnie deptanych i wciąż żywych kwiatach.

Stamtąd rodzą się pieśni z nienazwaną siłą:
Z ziemi co ci wydała, z chmur co nad nią stoją,
Z pól pachnących naprzemian chlebem i mogiłą,
Z cichych wieczorów letnich... — I każdy ma swoją.

Gdy czarny ciężar zwątpień zacięży zbyt mocno,
Gdy ziemia drży, a niebo motorami warczy,
Wyciągnij pieśń najcichszą — ciemną porą nocną —
Jak stary list od matki. I to ci wystarczy.

I nie bój się tych wzruszeń, przyjacielu miły,
Bo w nich są te najcichsze i najgłębsze siły.
Bo w nich są moce takie, o jakich się nie śni...
W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez pieśni.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Kapelusz biore pod pachę

Kapelusz biore pod pachę i drogą
Śliską od deszczu, gdzie mnie nic nie czeka
I gdzie nie spotkam na szczęście nikogo,
Idę i kłaniam się lasom zdaleka.

Gwizdę i śpiewam i śmieję się głośno:
Jak się masz, jasny błękitnie na niebie?
Płuca zapełniam ziół modlitwą rośliną
I coś mądrego mówię sam do siebie.

A kolorowe wśród zboża straszaki,
W czerwonych czapkach i na jednej nodze
Na migi dają mi tajemne znaki
I wznoszą ręce, gdy do nich podchodzę.

Hej, jak mi dobrze, jak świeżo, radośnie,
Jak lekko! Sama w dal niesie mię droga,
I w piersiach młodość mi odnowa rośnie
I jestem chyba podobny do Boga.

Jakem szczęśliwy — powiedzieć nie umiem!
O, mieć tak duszę do słońca rozśmianą!
Teraz to wiem już i dobrze rozumiem,
Czemu ujrzałem świat o piątej rano.

O, trawy mokre, żółte kłoseiny,
Glisty, ze szczelin wylgające skrycie,
Plamy wsi białych, kapliczki i młyny,
O, mój bezbrzeżny, bezdenny zachwycie!

O, drogo moja deszczami umyta
I wysuszona parującą piekłą!
Nieś mnie gdzie zechcesz, jeno niech zakwita
Przedemną zawsze twe modre: daleko.

Wież Ambinanelo

(FRAGMENT)

RADOSNY PTAK DRONGO

Przyleciał i odtąd zamieszkał nad moją chatą na wierzchołku drzewa figowego. Kos. Jak wszystkie kosy świata — czarny, aż granatowo błyszczy, lecz kos niezwykle : z pięknym ogonem jaskółczym i zuchwałym pióropuszem na głowie. Nazywają go drongo. Tutejsi Malgaszę mówią : «dobry ptak». Nie poznają ludzi. Kochają go i mówią nawet więcej : «Król ptaków».

Pewnego ranka gwizdzą sobie przed chatą melodię o wilku, który leciał przez pole i ogonem wywijał, gdy nagle ktoś mi na figowcu wtóruje i również każe wilkowi lecieć — gwizdem trochę koślawym i kapryśnym, ale przecież trzymającym się jako tako kupy. Patrzę na drzewo : drongo. Przeczyła swą czarną główkę, jakby wyczekując dalszych odgłosów, i wlepia we mnie figlarne ślepka.

— Hallo ! — witam go wesoło.

— Alooo ! — odpowiada mi z góry ptak i znika w gąszczu listowia.

Dotychczas myślałem, że odwiedzały drzewo i śpiewały w jego gąszczu różne ptaki, zielone gołębie, czerwone fidi, sójki i papugi. Styszałem je wszystkie. Teraz podejrzewam, że był tam tylko jeden ptak, drongo. On je wszystkie naśladował. I on także, figlarz, naśladował wyraźnie kobietę, tłukącą ryż wysoko na drzewie — arcyzagadkowe wtedy zjawisko. Teraz rozumiem : drongo, to dowcipny wesołek, ucieśzny trzpiot, mistrz fraszek i krotechwil, miłośnik lekkiej piosenki i słonecznej strony życia.

— Nie zabijaj dronga! — ostrzega mnie przyjaciel stary Dzinarivelo, i patrzy z wielką troską na moją strzelbę.

Tak samo ostrzegają i proszą inni ludzie wsi, aż dziw bierze, że to ci sami ludzie, którzy z zimną krwią zamęczą na śmierć kameleona lub okrutnie obejdą się z pocziwym jeżem — tanrekiem. Ku ptakowi wznoszą czułe spojrzenia i mówią: «drongo jest fadi, drongo jest nietykalny i święty!»...

Miłość do dronga, to stare dzieje.

Sto lat temu i jeszcze dawniej, do Ambinanelo, przybywali z nad morza korsarze, napadali na wieś, i uprowadzali do niewoli ludzi, a szczególnie kobiety i dzieci. Trudno było z nimi walczyć i jedynie szybka ucieczka do puszczy chroniła od zguby.

Pewnego razu wieś zauważyła zbliżających się rabusiów i całą ludność umknęła co tchu do lasu. Niestety, były także kobiety obciążone dziećmi i niezdolne nadążyć za innymi. W końcu zrozpaczone przystały i ukryły się w gąszczu w nadziei, że ich prześladowcy nie znajdą. Na nie szczęście, jakieś niemowlę zaczęło głośno płakać i natychmiast skierowano pogoń we właściwym kierunku. Zdawało się, że już wszystko stracone, pomimo, że dziecko przestało krzyczeć.

Wtem nieoczekiwanie ktoś inny uderzył w dziecięcy płacz, i to wysoko na pobliskim drzewie : drongo. Gdy napaśtnicy ujrzeni znajomego ptaka, naśladującego płacz dziecka, sądzili, że to drongo zwodził ich także i przedtem, zaniechali pościgu i zawrócili.

Drongo uratował od niewoli kobiety i dzieci i od tego czasu wszyscy ich potomkowie, cała ludność doliny Ambinanelo, czczą go jako dobroczyńcę i ptaka Opatrzności. Czczą go i kochają od pokolenia do pokolenia coraz bardziej.

Na szczycie figowca, obok mej chaty sterczy ku niebu sucha gałąź, i na niej drongo obrał swe stałe stanowisko. Lubi rozległe widoki. Stąd najlepiej ogarnia życie, śledzi postępy ludzi, wchłania dźwięki wsi, jednak najpilniejszą uwagę poświęca powietrzu. Czatuje. Od czasu do czasu zrywa się do lotu, wykonywa w górze cudowną wolbę, jakiś karkołomny «looping the loop», zachwyca niebo i ziemię i już wraca na gałąź. W dziobie trzyma zdobycz: osę. Czasem muchę albo ważkę.

Drongo — krzykacz, śmieszek i przedrzeźniacz — odznacza się niepospolitą u krzykaczy zaletą : odwagą. Szaleńcza, nieprzepartą odwagą. Jak grom uderza na każdego wroga; wrogiem zaś jest każdy obcy ptak, wdzierający się do drongowego państwa, które nie jest rozległe : kilkadziesiąt kroków od palmy kokosowej nad domem wójta Rajaony aż do bananowego gąszczu za śpichlerzem chińskiego kupca. Niech-no przekroczy tę granicę jakiś łobuziak, a chociażby to był największy ptak, drongo zamienia się w furie waleczności, wojuje jak bohater i zwycięża: intruz daje drapak.

Kukułki są zawsze głupie, uparte i bezczelne. Kukułka w Ambinanelo jest wyjątkowo natarczywa, może dlatego, że wyjątkowo piękna : niebieska. Co dzień po południu odbywa wędrówkę wzdłuż skraju wsi, pładruje krzewy i zjada gaśienice, lecz chętniej kradnie ptasie jajka i pisklęta. Około godziny czwartej pojawia się w pobliżu mej chaty i wtedy regularnie nastaje ptasia chryja. W bananowym gąszczu szarpia się i szamocą, wśród dzikiego harmidru, dwa ciała: jedno niebieskie i duże, drugie czarne i mniejsze. W końcu wypada kukułka cała rozczochrana i wycofuje się tyłem. Chcąc ośłodzić swoją porażkę, pyskuje co niemiara. Drongo nie pozostaje jej dłużny i również wrzeszczy. I tak przeciwnicy hałasują aż do chwili rozejścia się. Wtedy nastaje cisza i pokój — na dwadzieścia cztery godziny. Kukułka jest uparta.

Drongo rzuca się podobno z równym męstwem na największego w okolicy drapieżnego ptaka, kanię papanga, i tak gwałtownie naciera, że w końcu zmusza olbrzyma do ucieczki. Malgaszę cieszą się, gdy widzą to. Wtedy powiadają, że drongo jest silniejszy niż papang, i z dumą nazywają go królem ptaków.

Żyje w otoczeniu obcym, bardzo obcym, niemal wrogiem, w którym ludzie i klimat, rośliny i świat zwierzęcy, czyhają na potknięcie się nieznanego przybysza. Obrona wewnętrznej równowagi staje się tu nieodzownym warunkiem bytu. Dla równowagi zawiera się sojusze, szuka się oparcia. Oparcie, to czasem zachód słońca, czasem posilny obiad, przypadkowe słowo w książce, poryw oburzenia, nieoczekiwany kwiat. Lub wzruszenie i tliwość na widok dronga. Czarny rycerzyk z zawadiackim pióropuszem na

głowie, nieustraszonego obrońca swego państewka, urasta prawie do potęgi jakiegoś symbolu. Służy nieledwie za uosobienie i przykład męstwa, za wzór sprawiedliwej zażyłości. Patrzę na niego z podziwem.

Któregoś dnia drongo znika. Nie ma go przez kilka godzin, brak go pół dnia. Mija dzień bez niego, mija drugi dzień. Szukam zaniepokojony po okolicy i chodzę jak struty. Zniknięcie jego odczuwam jak osobisty cios. Ktoś bliski odszedł nagle, bez zapowiedzi, i pozostawił po sobie bolesną pustkę. Podejrzewam koty, że go pożarły. Nie mogę otrząść się z przygnębienia.

Za to trzeciego dnia budzi mnie ogromna wesoła wrzawa na dworze. Wypadam z chaty, patrzę na czubek figowca: on! Oczom nie wierzę: on! Rozbawiony i rozchukany. I nie sam. Sprowadził sobie drugiego ptaka, samieczkę. Zakochany na zabój, tańczy dokoła niej taniec szaleństwa i śpiewu o miłości. Jest pijany i obłądny. Jest jak rozpętany żywioł i jak wielka burza. Któżby nie oczarował tak wielkim uczuciem?

Drongo porywa naraz dwa serca i zawraca dwie głowy: serduszek i główkę małej samiczki na drzewie i duże serce i dużą głowę dwunożnego stworzenia na ziemi.

PIĘĆ FRANKÓW ZA TANREKA

Z Ambohimbola, wioski po drugiej stronie rzeki, przywozi mi pewien krajowiec ciekawe, choć pospolite zwierzątko, tanreka. Jest to malgaski jeź o koleczasto-szczecinowatej sierści i gatunek największy z tej rodziny, a nawet z całego rzędu owadożerczych. Rodzina to, mówiąc nawiasem, nad wyraz tajemnicza: najbliższy krewniak tanreka żyje z tamtej strony ziemi, na wyspie Kubie. Jak się tam dostał, bogowie wiedzą. Ponure katastrofy geologiczne w zamierzonych wiekach zatępiły wszelkie ślady nieodgadnionych zwierzęcych odysej.

Już dawno chciałem chować sobie żywego tanreka, więc na widok przyniesionego zwierzęcia bardzo się cieszę, lecz potem nagle się zasmucam i wręcz oburzam. Co za okrucieństwo! Malgasz uwiązał tanreka za dolne zęby i tak

niesie go, zawieszonego w powietrzu, napół uduszonego z wyrwaną nieledwie szczęką: straconego kalekę.

Malgasz ubrał się przy tym jak do parady. Nosi pyszałkowate spodnie, jedwabną koszulę, zbyt kłowny kapelusz i gruby, zimowy, francuski płaszcz, zuchwały i komiczny rekwiizyt w tropikalnym słońcu. Brązowi ludzie patrzą na przybysza z niekłamany podziwem.

— Pięć franków — woła buńczucznie i rzuca mi na ziemię zwierza.

Pięć franków za tanreka, to cena wygórowana i tak samo niedorzeczna jak gruby płaszcz. Człowiek dostał bzika.

Dokoła zbiera się gromada gapiów z całej wsi. Między nimi półnagi mizerak, odziany tylko w przepaskę biodrową. Biedny, lecz widać dobroniosny, bo nagle zdjęty litością, uwalnia tanreka z więzów i pieszczotliwie go głaszcze. Zwierz, pozbawiony sił, wcale nie ucieka.

Fotografuję nagusa z tanrekiem i daję mu za to pięć franków: dar niebysza. Natomiast właścicielowi zwierza ofiarowuję za kupno tanreka tylko jednego franka. Gdy nagus to słyszy, parska spazmatycznym śmiechem, pokłada się, wije i nie może zatamować obłądnej wesołości. Inni wtórują mu i ryczą tak samo bez opamiętania. Jedynie właściciel nieszczęsnego tanreka zżyma się z beznadziejnego gniewu, protestuje i pędzi do wójty na skargę.

— To niesprawiedliwość! — przekłada mi spokojnie i z godnością Rajaona. — Gdzież tu proporcja, gdzie sens?

I tłumaczy mi, że nagus, to łapserdak i włóczęga, podczas gdy właściciel tanreka, to obywatel zamożny i stateczny, któremu należy się stosowna zapłata, to człowiek ogólnie poważany, światły, cywilizowany.

Żle, że jestem bez kasku i stoję z odkrytą głową na słońcu. Niespodziewanie chwytam mnie wściekłość. Wybucham:

— Cywilizacja — to przede wszystkim dobre serce!!!...

Nagle urywam. Nie mogę dalej. Coś we mnie paskudnie zgryzło. Coś tu nie w porządku. Chciałem dwu brązowym ludziom wygarnąć perorę, oni chcieli słuchać — białego człowieka. Chciałem gromić — już nie potrafię: patos się rozkleił. Sięgnąłem zbyt wysoko.

FLORIAN SOKOŁOW.

CZARNY ŚMIECH

W starych moich notatkach, pisanych w Pretorii osiemnaście lat temu, znalazłem fragment, osnuty na tle prawdziwego zdarzenia. Później wyjaśnię, co mnie skłoniło do szperania w tych notatkach.

Znudzony rozmowami z t. zw. normalnymi białymi ludźmi, których najbardziej egzotyczne otoczenie nie wiele zmienia, poszedłem za radą przyjaciela mego, lekarza rosyjskiego, zajmującego się specjalnie psychoanalizą Murzynów, by odwiedzić kilku jego pacjentów. Przez całą drogę z Johannesburga do Pretorii dowodził mi on, że jeśli chodzi o władzę umysłową, nie ma właściwie żadnych różnic między białymi i czarnymi. Już sam fakt, że jedni i drudzy podlegają tym samym chorobom psychicznym, zbija, jego zdaniem, wszelkie teorie o wyższości białej rasy.

Oto treść impresji, skreślonej pod świeżym wrażeniem tego co widziałem:

Dwaj lekarze wyszli na naradę. Doktor — kierownik

szpitala — był młody jeszcze o jasnoniebieskich oczach i twarzy pokrytej głębokimi brózdami.

Ach, kiedyż oni wrócą! Posługacze, którzy zostali przy mnie, oddalili się na odgłos jakichś dziwnych przeraźliwych krzyków.

Znalazłem się sam bez broni, z Kodakiem w rękę, przed tym strasznym tłumem. Setki gałek ocznych nabrzmiałych krwią. Setki rąk wyciągniętych ku mnie, fantastycznie powykrecanych, z wibrującymi palcami, jak macki ośmiornicy, lub sztywnych, jak protezy, setki czarnych lub skamieniałych w bezruchu, i ten śmiech, okropny czarny śmiech przez śnieżno-białe zęby.

Wszystko to szło na mnie.

Nie był to tłum, bo tłum ma swą duszę i im bardziej jest szalony, tym większą stanowi jedność. Ja zaś miałem przed sobą osobliwą kolekcję szalów, byłem na najniesamowitszym zgromadzeniu na świecie.

Stałem na rampie, oparty o mur i chciałem fotografować. Widowisko fascynujące. Ale trwoga paraliżowała me ruchy, podcinała nogi i gdyby nie dwaj zdyszani posługacze, którzy nadbiegli, nie wiem czy długo bym wytrzymał.

Biały człowiek wśród czarnych czuje się nieswojo, coś dopiero w zbiorowisku czarnych szaleńców, którym słońce tropikalne przepaliło mózgi. Każcie zbadać swe nerwy zanim wejdziecie do szpitala dla obłąkanych Murzynów.

Była dwunasta w południe. Żar lał z nieba. O tej porze spokojniejszych chorych wyprowadzano na przechadzkę po twardym ubitym dziedzińcu szpitalnym, a furia ci różnych stopni, ukryci w celach pracowali zawzięcie, bez wytchnienia, usiłując na próżno rozbić swe czaszki o materace.

Szpital dla obłąkanych w Pretorii to jedna z największych osobliwości Afryki Południowej. Nigdzie na świecie nie ma tak bogatego wyboru szaleńców różnych ras i narodowości. Jest to zwarłowany świat w miniaturze. Skarbiec studiów dla psychiatrów. Nigdzie ludzie nie tracą tak łatwo zmysłów, jak w tym kraju rażących kontrastów, kraju złota, diamentów i kolorowej niedoli.

Doktor szpitalny uspokoił tłum. Obłąkani zaczęli powoli rozchodzić się po dziedzińcu. Kilku tylko chciało się oddalić. Chińczyk w fecie z wyszczerzonymi zębami w idiotycznym uśmiechu, nagi kafr o oczach mordercy i stary Hindus, wymachujący rytmicznie rękami, który co kilka chwil podskakiwał w górę. Jak mnie objaśniono, ten Hindus dotknięty jakąś nieznaną formą obłądzenia, od trzydziestu lat staje codziennie na tym samym miejscu i wykonywa całymimi godzinami te same ruchy.

Choroby umysłowe wśród dzikich plemion Afryki to przeważnie dzieło cywilizacji. W stanie pierwotnym były one nieznanne i tuhyliców. Wyjątek wśród mieszkańców miast południowo-afrykańskich stanowią pod tym względem kulisy malajscy, u których często zdarzają się wypadki t. zw. amok running, szału morderczo-samobójczego. Przychodzi on nagle. Ludzie, opętani nim, pędzą na oślep, zabijając każdego spotkanego po drodze, aż wreszcie kończą samobójstwem. Pokazywano mi chorego, który zdradzał objawy takiego szału. Leżał w odrętwieniu katatonicznym.

Nie będę wyliczał tych wszystkich form obłąkania, jakie były reprezentowane wśród czarnych pacjentów szpitala Pretorii. Żadnego rodzaju choroby umysłowej tam nie brakowało. Pod tym względem Murzyni całkowicie zasymilowali się z białymi. Stosunkowo najwięcej było dotkniętych obłądzeniem epileptycznym, a najmniej na manię wielkości. To widocznie specyficzna biała rasa.

Tłum czarnych wariatek robił wrażenie jeszcze smutniejsze. Przeraził mnie swoim spokojem. Tam panowała niepodzielnie melancholia. Jedyną wesołą istotą była hermafrodytka, czy też fermafrodyta — nie wiem jakie określenie byłoby w danym wypadku ściślejsze — która przed stawiała się nam jako ojciec wszystkich wariatek w szpitalu. Była to Mulatka, o imponującej postawie, z dużym zarostem. Mówiła basem i wciąż trzęsła się od śmiechu.

Pawilon dla czarnych, aczkolwiek urządzone z dostatkami i pewnym komfortem był lichą budą w porównaniu ze wspaniałą rezydencją białych wariatów.

Myliłby się kto, myśląc, iż wobec obłądzenia ustaje kwestia rasy. Biali nigdy nie wariują do tego stopnia, by uważać czarnych za swoich bliźnich. Przeciwnie, antagonizm kolorów skóry jeszcze więcej zaostrza się przy pomieszaniu zmysłów. Biali szaleńcy byli prawdziwą arystokracją szpitala. Chodząc po ich apartamentach, miałem wrażenie,

że jestem w eleganckim klubie londyńskiego West End'u. W jednej z sal grupa gentlemenów, rozpartych w wygodnych skórzanych fotelach, paliła fajki i czytała gazety. Byli to maniacy różnego typu i na różnym tle. Siwowłose elegancki jegomość, Anglik, przedstawił mi się jako prezes międzynarodowego klubu kawalerów. Szepnął mi do ucha, że wiceprezesem jest książę Wali. Był to jeden z najskromniejszych megalomanów, jakich tam spotkałem. Uderzająco wielką była liczba chorych, którzy postradali zmysły na tle utraty majątku — ofiary gorączki złota i brylantów. Jeden z nich, chudy Szkot w wielkich okularach, długo mi mówił o jakiejś niezmiernie ważnej sprawie, w której się rozchodziło o miliardy, przeplatając swą opowieść aforyzmem: «Kto jest swym własnym adwokatem, ten ma głupca za klienta». Biedak zmądrzał po niewczasie, bo sam podobno całą swoją niegdyś fortunę przeszczał na piniactwo.

Na tarasie przed ogrodem inna grupa wariatów grała w karty. Ale szczytem komfortu była olbrzymia sala dancingowa. Co tydzień odbywały się tam zabawy taneczne i, jak mnie zapewniał doktor, rzadko kiedy wynikają na nich awantury, rzadziej niż na zabawach ludzi o zdrowych zmysłach. Obłąkani tańczą z wyszukaną dystynkcją i są bardzo grzeczni dla swych dam.

Te pozory normalności, ta tresura ludzi cywilizowanych, której nawet obłąkanie zmóc nie może, zrobiły na mnie jeszcze bardziej ponure wrażenie niż straszny tłum dzikich szaleńców w pawilonie dla czarnych.

Opuszczałem szpital, myśląc o tragicznej przepaści, jaka dzieli rasy ludzkie. Przepaści, której nie wypełnić nie jest w stanie. Nawet obłąd.

Tu kończą się moje notatki. Minęło osiemnaście lat. Wiele wrażeń z tamtych czasów zatarało się w pamięci. Los rzucał mną do różnych krajów. W zawrotnej karuzeli wypadków, które później nastąpiły, w tych ciągłych kryzysach, wstrząsach, w okropności wojny obecnej rzadko kiedy przychodził mi na myśl ów szpital w Pretorii. Ale dziwne są na tym świecie przypadki. Któż je odgadnie i zgłębi. W mroku przedzie się losu naszego przedziwno nieznane, to biegnie gładko i równo, to skręca się w supły ponure lub pęka, spadając w otchłań niebytu. Jednemu z tajemnych skrzyń swych rzuca fortuna barwne muszelki radości, drugiego przywala czarnymi ciężkimi głazami nieszczęść, a kto przewidzi, co będzie za chwilę? Na próżno szukalibyśmy, jakiegoś związku przyczyn ze skutkami.

Nie wiem jakim skojarzeniom myślowym to przypisać, ale w ostatnich czasach uparcie i natrętnie przypominała mi się owa wizyta w domu obłąkanych Murzynów, ów tłum szaleńców, który szedł na mnie. Stawał mi żywo przed oczyma daleki egzotyczny krajobraz południowo-afrykański, jadowita zieleń Mozambiku, tęcza księżycowa nad wodospadem Wiktorii, długie pasma porośnięte kępami drzew pagórków, łudząco podobnych z daleka do głów murzyńskich, plantację bananów w malowniczym kraju Zulusów, nisko sklepione niebo i gwiazdy tak wielkie i oślepiające, że chwilami traciło się poczucie rzeczywistości. Stawały mi przed oczyma całe pola czerwone, gorące, usypiane różnokolorowymi, dziko rosnącymi krzewami — purpurowe point-settie, żółte kanny, krwiste hibiskusy.

Może dlatego, coś mnie ciągnęło nieodparcie do ogrodu botanicznego Kew Gardens. Była wiosna. Kwitły magnolie i rododendry. Oglądając w jednej oranżerii bogatą kolekcję storczyków, poczułem na sobie czyjś wzrok.

«Ja pana skądś znam» — przerwał mi myśli poważny angielski gentleman o inteligentnej twarzy. «I mnie się wydaje, że spotkalimy się gdzieś na tym świecie» —

odpartem. Jego jasno-niebieskie przenikliwe oczy budziły we mnie dalekie wspomnienia.

«To są bardzo drapieżne kwiaty» — zauważył ów gentleman po dłuższym milczeniu i zaczął mi objaśniać różne gatunki egzotycznych orchidei. «Dziwny kaprys natury. Jest w nim jakieś szaleństwo». Spojrzał na mnie bacznie i rzekł: «Teraz wiem już, gdzie ja pana widziałem. Dałbym głowę, że mamy wspólnego przyjaciela, lekarza z Johannesburga i że pan był razem z nim w Pretorii, u mnie w szpitalu. Strasznie się pan wtedy przeląkł pacjentów, a nie było żadnego powodu».

«Ma pan doskonałą pamięć» — odpartem. «Tak jest. Odwiedziłem szpital w Pretorii w roku 1926. Co za traf, że pana tu spotykam. Ostatnio dużo myślałem o Pańskich wariatach. Ale przede wszystkim, co porabia nasz wspólny przyjaciel?»

«Dobrze mu się dzieje. Świetną ma praktykę. Jest wielkim entuzjastą Murzynów. Boję się, że trochę przesadza, chociaż na dobrą sprawę trudno się z nim nie zgodzić. Ten koszmar, w jakim żyjemy, to przecież wyłączna nasza wina, naszej dumnej białej rasy. Oni nigdy nie doprowadziliby do takiego szaleństwa. Przyjaciel Pański napisał interesującą książkę o murzyńskich znachorach. Nie zupełnie się z nim zgadzam, ale chwilami sam zaczynam wierzyć w ich czarodziejskie leki. Pyta się Pan o moich wariatów. Dzisiaj trudno stwierdzić, kto jest prawdziwy wariat: My czy oni! Chyba podziela Pan mój pogląd, że cały świat zwariował».

«Oczywiście — odpartem — wszyscy są poniekąd tego samego zdania. Stało się to już komunatem».

«W tym właśnie tkwi błąd, niezrozumienie istoty rzeczy — przerwał mi zniecierpliwiony doktor. Komunat, frazes! O nie! To, co mówię nie jest komunatem. Ludzie nie zdają sobie dość jasno sprawy z rzeczywistości. Świat na prawdę zwariował. Czy pamięta Pan starego Hindusa, który wykonywał bez przerwy machinalne ruchy i podskakiwał przez długie lata na jednym miejscu. Czy nie sądzi Pan, że identycznie to samo robiły mądre, cywilizowane narody w okresie między dwiema wojnami? Była to też również jakaś nieznana forma obłądu, stokroć groźniejsza — głupota, ślepotą, bezmyślność w obliczu strasznego niebezpieczeństwa. Czy pamięta Pan moich pocztowych maniaków i megalomanów? Jakżeż niewinni, nieszkodliwi byli oni w porównaniu z tymi zdrowymi, normalnymi magalomanami, z tymi ropuchami nadętymi swoją wielkością, które pchają narody do rzezi dla swojej sławy, władzy i pieniędzy, z alkoholikami frazesów patriotycznych i nekrofilami historii, którzy szerzą masowe psychozy nienawiści narodowych i rasowych. Ja nie znam się i nie chcę znać się na polityce. Mam wstręt do niej. Niech mi pan wierzy, że nie politycy uzdrowią ludzkość.

Czy pamięta Pan moich furiatów? Zamknięci byli w celach i starali się rozbić własne czaszki, a nie cudze.

Pan widział tego biedaka kulisa malajskiego, amok-runninga dotkniętego obłądem morderczo-samobójczym. Unieszkodliwiliśmy go. Ale gdyby nawet nam zbiegł, zabiłby co najwyżej kilka lub kilkanaście osób. A czy nie sądzi Pan, że Hitler i większość Niemców opętana została tym samym szaleństwem. Jakżeż inaczej wytłumaczyć, że ci wszyscy Muellerowie i Schmidtownie, praworządni obywatele, chłopcy i robotnicy, kupcy i fabrykanci, doktorzy i profesorzy stali się dziką hordą barbarzyńców, w której znikły nagle wszystkie hamulce moralne, gdy ruszyła ona na rozkaz Fuehrera, grabiąc, niszcząc, zabijając. Wiem dobrze co robili oni w pańskiej ojczyźnie i bardzo współczuję. Moi pacjenci nigdy nie popełniliby takich zbrodni. Szpital mój

był tylko wzruszającą sielanką wobec zwariowanego świata».

Doktor mówił coraz bardziej podniesionym głosem i ciężko oddychał.

Wyszliśmy z oranżerii, gdzie było parno i duszno. Przedstawiłem doktora dwom damom, które przyjechały ze mną do Kew Gardens i były zaniepokojone moją długą nieobecnością.

«What a lovely day — rzekł z pogodnym uśmiechem dystygowanego gentlemana. Proszę mi wybaczyć, że tak długo zatrzymałem tego pana, nudząc go moimi uwagami». Zapadał wieczór. Wesoly, beztroski tłum londyński opuszczał park.

KAROL CAPEK

Przypowiadki

Krytyk: — Pocóż miałbym się przyglądać światu jaki jest? Wystarczy mi, że wiem, jaki świat ma być.

Koza na postronku: — Jakież mały jest ten świat!

Mucha na oknie: — Już wiem, gdzie są granice rzeczywistości.

Zwierciadło: — Człowiek jest tylko moim wyobrażeniem.

Kijanka i powódź: — Hurra, my kijanki zatopiłyśmy świat!

Maszt: — Oto najwyższy stopień rozwoju: nie mieć korzeni, nie mieć gałęzi, nie mieć litości.

Cywilizowany szczur: — Nie zawracajcie mi głowy wychwalaniem wsi. Przecież tam nie ma nawet kanałów.

Onca: — A niech mnie zabiją, byle mnie prowadzili!

Niewolnik: — Potrafiłbym niejedno, byle mi ktoś rozkazywał.

Dyktafor: — Dałem swemu narodowi wiarę. Wiarę i sztandar.

Planety: — Dużo jest gorszych planet, takich, które krążą dookoła innych gwiazd.

Wiew: — Dopierośbyś patrzył, kochany młeczku, gdybyś wiedział, jak my, orkany, potrafimy szaleć na Florydzie!

Chorągiewka na wietrze: Aha, teraz poznałam nowy kierunek!

Pył w huraganie: — Niech się łamia drzewa, bylebym ja mógł lecieć!

Wieprz i perły: — Brrr! Jakież to świństwo wmieszano mi do zarcia!

Szpara w murze: — Czem chciałbym być? Wielką ogromną szparą.

Pracodawca: — Jako? Ośmiogodzinny dzień pracy? Czy wyobraża sobie kto, że ja wydaję pieniądze tylko przez osiem godzin dziennie?

Attyla: I ja przyszedłem zbawić świat.

Dżengis - Chan: — Palcie i rżnijcie śmiało! Chodzi przecież o wielkość tatarstwa!

Nad zwłokami poległego nieprzyjaciela: — To on zaczął. Gdyby się nie bronił, byłby spokojny.

Tyran : -- Ach ty hołoto! Ja zrobiłem z ciebie wielki naród!
Dyktator : -- Osiągnąłem jednomyślność. Wszyscy muszą mnie słuchać.

Jeszcze raz dyktator : -- Zabrałem im wolność, ale zato dałem im samowiedzę.

Wróbel : -- Wielka mi sztuka słowik! O ileż więcej jest nas wróbli.

Kapitalizm : -- Nic nie robię dla siebie, wszystko dla pieniędzy!

Rada : -- Czego nie możesz zrobić sam, tego przynajmniej nie pozwól zrobić innym.

Demagog : -- Ten głupi motłoch wyobraża sobie, że to ja go prowadzę, podczas gdy on sam mnie prowadzi.

Wódz : -- Siły przyrody będą od tej chwili podlegały mnie. Nakazuję wszystkim ciałom, aby spadały pionowo.

Mucha : -- Widzicie te czarne kropeczki na ramie obrazu? To moje dzieło, proszę państwa! I ja jestem malarz!

Pluska : Chcę, aby było wiadomo, że ja śmierdę w imieniu wszystkich pluskiew!

(przełożył z czeskiego *Paweł Hulka-Laskowski*).

Polski taniec ludowy

Obrzędowość ludowa w Polsce posiada pewien atut, który podobnie jak pieśń ludowa, stanowi niezaprzeczenie polską cechę. Jest nim taniec ludowy, który na całym niemal świecie stał się nerwem i sprężyną twórczości plastycznej i muzycznej.

Taniec ludowy występuje w sztuce nie tylko polskiej. Jest on podstawą tworzywa artystycznego całego świata i echo jego znajdujemy w muzyce i plastyce zarówno ludów cywilizowanych, jak i dzikich, stojących na najniższym szczeblu rozwoju umysłowego. Musi on jednak posiadać wielką siłę przyciągającą, skoro na jego rozwój i postęp zwrócona jest uwaga ludzi, studiujących nauki etnograficzne, ludoznawcze.

Taniec ludowy w Polsce cieszy się dawną i znakomitą tradycją. Dzieje jego są o wiele starsze i dostojniejsze, niż tańca dworskiego i salonowego. Najdawniejsze ślady tańca ludowego zawiera pieśń religijna z XV wieku o charakterze wybitnie tanecznym, nazwana «Jezusa Judasz sprzedaw».

Tańce polskie ludowe podzielić można na dwie zasadnicze grupy: taniec suwany i taniec skoczny; wszystkie tańce są wykonywane parami. Charakter tańców jest ściśle zależny od dzielnic kraju, w której jest wykonywany. Ten ważny szczegół należy zapamiętać zwłaszcza przy organizowaniu przedstawień amatorskich w teatrze polskim wśród Polonii zagranicznej. Należy bowiem wystrzegać się tego, by organizując np. wieczornicę góralską, nie umieścić w jej programie jakiegoś mazurka czy kujawiaka. Regionalny charakter tańców polskich jest tak wybitny, że mieszanie różnych odmian tanecznych może się przyczynić tylko do zmącenia nastroju i zatarcia dodatniego wrażenia.

Do najcharakterystyczniejszych polskich tańców ludowych należy mazur. Jest to taniec obrotowo-suwany, pełen ognia, temperamentu i prawdziwej polskiej zadzie-

rzystości. Jakkolwiek kolebką jego jest ziemia mazurska, Mazowsze, tańczą go przecież w całej Polsce. Zyskał on cechy tańca narodowego. Wykonywany zwłaszcza w pięknych strojach ludowych, w pełnym blasku światła i barw, na tle dekoracji, przedstawiającej chatę chłopską lub wnętrze wiejskiej karczmy, pozostawia niezatarte wrażenie.

Na Kujawach, w okolicach Płocka, Włocława i na Pomorzu, króluje skoczny kujawiak, a obok niego oberek i obertasy, — tańce obrotowe, wykonywane przez tancerzy obojga płci. Ku południowi, w woj. krakowskim tańczy się krakowiak. Widok par odzianych w pyszne stroje krakowskie, mieniące się całą gamą barw, bijących od wstążek, koralów i pawich piór, sprawia wrażenie jakiegoś zaczarowanego kręgu, w którym poruszają się tancerze w skocznym rytmie tego może najpiękniejszego z tańców.

Wymienione tańce posiadają pewną wielką zaletę, mianowicie doskonale się nadają do stylizacji. Taniec stylizowany polega na prześwieceniu formy oryginalnej, rdzennej, przez pryzmat adaptacji scenicznej, która stanowi najważniejszą cechę widowisk teatralnych. Taniec stylizowany istnieje obok tańca oryginalnego, podobnie jak śpiewka ludowa obok pieśni, będącej jej artystyczną, doskonałą formą.

Obok tych tańców istnieją jeszcze inne, związane nierozdzielnie z tymi dzielnicami kraju, w których powstały i rozwinęły się, tworząc nieodłączny dodatek dla całkowitego całokształtu folkloru dzielnicowego, regionalnego. I tak Podhale i Tatry, drzemające w mgłach, spójających groźne, granitowe szczyty, są ojczyzną tańców góralskich: zbójnickiego i krzesanego. Pierwszy z tych tańców, zbójnicki, wykonany jest przez samych tylko mężczyzn. Jest to ślad dawnej buńczucznej i pełnej fantazji przeszłości naszych górali, którzy wydali słynnego zbójnika Janosika, żyjącego po dziś dzień w podaniach i w legendach podhalańskich. Taniec ten wymaga doskonałego zrozumienia środowiska góralskiego, niezwyklej, akrobatycznej niemal giętkości i zgrabności tancerzy. Tańczą go wokół ogniska, przeplatając tan piosenkami «janosikowymi», skacząc w międzyczasie przez «watrę», jak się zwie w ich narzeczu ognisko.

Drugi taniec góralski, krzesany, jest wykonywany przez dwoje, lub więcej tancerzy. Jest to typowy taniec suwany, w czasie którego kobieta i mężczyzna, nie obejmują się, wykonują drobne kroczki i obroty; w tańcu tym zmienia się również i partner, podczas gdy tancerka pozostaje ta sama.

Wybrzeże polskie posiada również swój charakterystyczny taniec kaszubski. Jest to najmniej może znany taniec ludowy w Polsce, prawdopodobnie dlatego, że lud kaszubski, pozostający przez długi czas pod obcym zaborem, stosunkowo niedawno stał się politycznie przynależny do państwa polskiego i studia ludoznawcze nad tą częścią naszego kraju nie osiągnęły jeszcze pożądanego wyniku. Życie i obyczaje naszych rodaków kaszubskich są nam jeszcze niezbyt dokładnie znane.

EMGAR.

Chwilka ze sobą.

Niema nic straszniejszego, jak czynna ignorancja.

Goethe.

Dla ludzi prawych nie ma nic bardziej dręczącego, jak położenie fałszywe.

Orzeszkowa.

Kolumna poezji

CZESŁAW MIŁOSZ

Książka

W czasach dziwnych i wrogich żyliśmy —
wspaniałych

Nad głowami naszymi pociskii
śpiewały

I lata niemniej groźne od rwących szrapneli
Nauczały wielkości tych, co nie widzieli
wojny.

W pożarze głucho płonących tygodni
Pracowaliśmy ciężko i byliśmy głodni —
Chleba, cudów nieziemskich, zjawionych na ziemi.
I nieraz, spać nie mogąc, nagle — zasmuceni
Spoglądaliśmy w okna, czy nad nocą sine
Nie przelatają znowu stada zeppelinów.
I sprawdzaliśmy w lustrze, czy na czole piętno
Nie wyrosło, na znak, żeśmy już skazani.
W tych czasach niedość było zawodzić słowami
Czystymi, nad patosem świata wiekiustym:
Była epoka burzy, czas apokalipsy.
Państwa dawne zburzone. Stolicę wrzecionem
Kreśliły się pijane nad niebem spienonym.

Gdzie jest miejsce dla ciebie, w tym wieku zamętu
Książko mądra, spokojna, stopie elementów
Pogodzonych na wieki spojrzeniem artysty.
Już nam z kart twych nigdy nie zaświeci mglisty
Wieczór, jak w prozie Conrada
Ani chórem faustowskim niebo nie zagada,
Ani czoła — usłyszawszy dawny śpiew Hafisa —
Chłodem swoim nie dotknie, głów nie ukołysa,
Ani Norwid surowe nam odkryje prawa
Dziejów, które czerwona przestania kurzawa.
My, niewidzialni, ślepi i epoce wierni,
Gdzieś daleko idziemy, nad nami październik
Szumi liściem, jak tamten łopotał sztandarem.
Wawrzyn jest niedostępny nam, świadomym łary
Jaką wyznacza czas tym, co pokochali
Doczesność, ogluszoną hałasem metali.
Więc sławę nam kazano stworzyć bezimienną,
Jak okrzył wichrów, odchodzących w ciemność.

JAN LECHOŃ

Sejm

Gdy do sali wszedł sejmowej z wielkim animuszem,
Gwałt uczynił pan Zagłoba białym swym kontuszem.
Za pas stuknął rękę włożył, srebrną ma deliję;
Drzwi otwarły się z hałasem: „Łuna, łuna bije”.
Powciskani w ław szeregi zerwą się postowie
I spojrzeli na się wzajem w krzyżach czując mrowie,
Gdy tymczasem On, wyłotów odrzucając, stąpa,
Aż zadrzała, zaskrzypiała polska chata skąpa.
Poszedł cichy szmer po frakach, poszedł po żakietach,
Rozglądają się biskupi strojni, w fioleciech,

Elektryczność w żyrandolach zaświeciła jasno,
Pan Zagłoba, niby w tańcu, drogą idzie własną.
Pomarańcze po doniczkach poruszyły liście
Przed tym słońcem nadchodzącym, skrzącym się srebrzyście
Oniemieli dziennikarze w swej prasowej łoży;
Nikt nie wiedział, że On przyjdzie i że kontusz włoży.
Rusza warta wojsk, mająca straż przy majestacie,
Bo się boją, że Pan zechce zabrać głos w debacie,
Że coś powie, co obrazi sal sejmowych ściany;
Ustępują z drogi wszyscy: myślą, że pijany.
Upił-że się, upił miodem, upił miodnym złotem,
Całą wychłat dziś piwnicę, spał przez chwilę potem.
Rankiem swatnych kazał wołać, w tabakierkę trzasnął,
„Na sejm jadę, na królewski, kontusz dajcie” wrzasnął.
Czeka czwórka zaprzęzona przed bielonym dworem,
Dwór przeżegnał pan Zagłoba zacnych ojców wzorem.
Bał zaświstał, kurz się podniósł, zaskrzypiała koła:
Czwórka pędzi, wicher gędzi, śmieją się u siola.
Zasepianych zastał w sali, zagadanych górnice,
Wieńce kłopot na galeriach, postów na kolumnie,
Budżetowej gwar dyskusji, szelest enuncjacji.
„Racja” izba zawołała. „Niema” krzyknął „racji”.
Pobielaty postom wargi, poszedł chrzest po straży;
Jeszcze jeden krok postąpił: wprost do tronu wali.
Pobielaty postom wargi, poszedł chrzest po straży;
Zerwał król się na swym tronie, twarz Mu ogień żarzy.
Wziął pod ramię go Zagłoba, dał tabaki niucha
I coś szeptem, mruga okiem — cały sejm go słucha.

Co to ? co to ? Śmiech zatrzęsął miłościwym panem;
Coś powiedział kanclerzowi z licem roześmianym,
Coś powiedział senatowi kanclerz jak w sekrecie;
Gruchnął gromem śmiech biskupów strojnych w fiolecie.
Usłyszeli go postowie. Stanów zniknął przedział:
Śmiechem jurnym się zbratali nad tym co powiedział:
Staropolska zwykła fraszka, sprośnym, tłustym witzem,
Powiedzianym roześmianym i pijanym licem.
Tynk obleciał na suficie: śmiech o szyby bije,
Z ław się zerwał sejm i krzyknął: „Polska niechaj żyje!”
Aż za oknem podskoczyły u pojazdów koła,
I coś pędzi i coś gędzi, w głos się śmieją siola.

JAN MAR



O nic się nie pytam,
niczem nieciekawym ..
lipcowy dzień przesypiam
pośród skoszonej trawy.

Południa skwar mnie budzi
złotem przepala oczy —
koniczyn kłwietny zapach
do snu mnie znowu mroczy.

Nade mną parne niebo
świerku przeszły strzałą, —
to wszystko, co mi z świata
w zamglonym śnie zostało.

A jedna myśl leniwa,
marzenie najłaskawsze —
z tym niebem, świerkiem, słońcem
wplątać się w sen na zawsze.

Postój w Babiance

Spokój! Ustalił wywiad.
 My w lesie. Czasby nam wyjść stąd
 I znowu śpiew nas tu przywiódł
 W ten dwór, jak w moje dzieciństwo.
 Ryk krów otwiera aleje,
 Od stajen zawiewa amoniak
 I kłóży pomyślał: To dzieje
 Wnukom wpisane do kronik.
 Zrzucamy ciężar ze siebie,
 Tęsknotę i amunicję.
 Jak się przez kłwiecień przebić
 W zwykłe żołnierskie życie?
 Wokół białego gazonu
 Ćwiczysz sztabowy pluton.
 Dziwi się pan ekonom
 Zdartym leśnym rekrutom.
 Z traw niekoszonych ogrodu,
 który powoli zdziczał,
 Ogrodnik wstał siwobrody
 Pokłonił mi się: Paniczu!
 Od grobów przywlokłem się leśnych,
 Czyli to dom? I wakacje?
 Przeglądam w trzcinowym łąkzie
 Pozółkłe jak ser ilustracje.
 Druhu w twardej żołnierce
 Z ręką na wiejskim temblaku,
 Wyjmże liryczne serce
 Noszone w pruskim plecaku.
 Trudno pomyśleć cokolwiek,
 Czary są coraz cięższe.
 Słowik, rozkwitły słowik
 Tkwi w rozśpiewanej czeremsze.
 Tu dzieje ujmujesz w dłonie
 Jak z grotgerowskiej karty.
 W opustoszałym salonie
 — Gwér o kominie oparty.
 W rozdartym fortepiano
 Ktoś szuka rdzawej romanasy.
 Wszyskto to spłynie rano
 Z krwią naszą w partyzantce.
 Szopena nie grajcie tylko!
 Serce już nie pomieści.
 Dajcie odetchnąć tą chwilą
 W antrakcie krwawej powieści.
 W partyzantce, kwiecień 1944 r.

JÓZEF MIŁOBĘDZKI

Odezwa biura odbudowy świata

DO MATEK PŁACZĄCYCH PO STRACIE SYNÓW

Odbudujemy świat, odbudujemy

Nie płaczcie, żony i matki —

Zbudujemy pomniki bohaterom,
 Zbudujemy domy dla sierot,
 Obniżymy wam państwowe podatki.

Odbudujemy świat, odbudujemy!

Powstańcie ze zgłiszcz i z prochu,
 Nie łamcie rąk w rozterce!

Odbudujemy świat, odbudujemy!

Każdej z was damy samochód,
 Maszynę do ondulacji włosów,
 Elektryczną kuchenkę
 I elektryczne serce.

Nocny alarm

Było to zeszłego roku
 W Mauthausen.
 Na rewirze, na pierwszym bloku,
 Zimą, gdy noce ślepe marzły za oknami
 I wiatr grał na szybach deszczu drobnymi palcami
 Nokturny Szopena.
 Leżeliśmy cicho zasłuchani
 W dziwne wiatru wariacje,
 Gdy wtem głos syreny przenikliwy
 Przerwał nocy ciszę
 Jękiem potępieńca
 Co cierpi czyścicowe katusze.
 Patrzyłem w małe okienko przede mną
 Gdzie widać było jak przestrzeń ciemną
 Świetliste noże reflektorów
 Kłudy długimi pchnięciami
 Krając miękką masę nieba
 Między gwiazd złotymi ćwiekami....
 Gdzieś w oddali drżał delikatny brzęk motoru....
 Rósł — coraz bliższy...
 Coraz głośniejszy i wyższy,
 Basem — do tenoru,
 Aż wreszcie ryknął nad dachami
 Gromkie budząc echa pomiędzy blokami....
 Widziałem oczyma duszy
 Jak bladzi esmani na warcie zatykają uszy
 W niemym strachu tulą się pod płótem
 Motorów tysięcznym zduszeniu łoskotem
 I coś we mnie drżało
 Napięte jak struna...
 Wtem — ktoś z łóżka wyskoczył
 I krzyknął za pierś
 Łapiąc się rękami:
 „Panowie! To wolność leci nad nami!”....

JAN MAR

Zegnajcie wiersze

Zegnajcie miłe wiersze,
 wśród których młodość wzrosła!
 Przez wody płynąc szersze
 za ciężkie chwylał wiośła.

Zegnajcie kwietne rytmy,
 śpiewane w tajemnicy,
 gdy belfer logarytmy
 na czarnej pstrzył tablicy.

Zegnajcie proste rymy,
 poezji pierwsze czary, —
 wierzby i ognisk dymy,
 na stawach nenufary.

I wy piosenki moje
 miłości szczęściem strute!
 Na twarde idę boje,
 wygnanie i pokutę.

Chciałbym was mocno jeszcze
 raz jeden ucałować, —
 imiona, które pieśczone
 i dawne, dobre słowa.

Zegnajcie! Trudna rada!
 gdy płynę pośród cienia....
 A może, ktoś to zbada,
 tylko — do zobaczenia?

TERAZ TO -- WSPOMNIENIA

Śnił się nam wciąż statek szwedzki. Dużo ich stało w Szczecinie na kotwicy, a jedni i drudzy przebąkiwali, że tym się udało, albo tamtym...

Zostawał nam więc ten jeden środek pozbycia się niewoli. A ona ciążyła. Ciężka zwłaszcza tym, co chcieli, a nie mieli szczęścia. Tym, którym długie lata w karniaku wyżyły zaciętość.

Jechaliśmy jak magnaci. To, że od czasu do czasu wiatr zakręcił w próżnym wagonie pyłem węglowym, że pić się nam chciało, że już dawno, bardzo dawno zjedliśmy ostatnie sucharki i że drżeliśmy z zimna, nie usuwało z naszych ust uśmiechu do przygody, trochę wystraszonego, ale zawsze uśmiechu.

Franio siedział na przeciwko mnie. Wyciągnął swoje nieskończenie długie nogi i ziewnął. Zanościło się dopiero na świt. Trochę jeszcze zły byłem na Frana.

Wczoraj jechaliśmy sobie elegancko pośpiesznym pociągiem, między zderzakami. Jest to podróż bardzo przyjemna i urozmaicona. Gdy pociąg zajeżdża na dworzec i przystaje, trzeba ześlizgnąć się ze zderzaków i między koła — pod wagon! Koła i noc dobrodziejka dostatecznie chronią od niepożądanych oczu.

I tak jechaliśmy sobie, śmiejąc się z Niemców, kiedy na jednym dworcu Franio zrobił kawał. Gdy zawiadowca stacji zagwiżdże, ostrożnie trzeba włączyć z powrotem na zderzaki. Właśnie niefortunnie Franio, gramoląc się, nie chcąc paskiem swego chlebaka zahaczyć o kran od hamulca bezpieczeństwa i otworzył go. Czy to para, czy ściśnione powietrze zaczęło syceć straszliwie, ogłuszyło nas zupełnie. A pociąg jest już w biegu. Ciągnie maszyna. ciągnie, sapie, aż wreszcie przystaje.

Ruch się zrobił na dworcu, zbiegają się kolejarze, my zaś jeszcze siedzimy. Widzimy jednak, że to nie przelewki, trzeba wytykać. I popod koła, na drugą stronę. Troszkę było zapóźno jednak. Kolejarze wyłaniali się z różnych kątów, a widząc nas dwóch goniących w odwrotnym kierunku, wydali jakieś niemieckie wojenne okrzyki — i za nami. My pomiędzy wagony, zakręciwszy tędy i owędy, pędzimy by się wydostać z dworca. Jeszcze trochę i dopadamy ogrodów kolejarskich. Niestety — Franio jest pierwszy, jako że ma nogi strasznie długie, zatrzymuje się. Przed nami stoi wysoki druciany płot, podwyższony jeszcze rozpiętymi nad nim koleczastymi drutami. Tu zaś ani ułamek sekundy nie ma do stracenia.

Teraz nie zdaję sobie dokładnie sprawy z tego, jak to się stało. Wiem tylko, że podsadziłem Frania, aby się mógł uchwycić ostatniego drutu i podwindować. Sam zaś cofnąłem się parę kroków w tył wziąłem rozbieg i skończyłem. Nie wiem jakim cudem uchwyciłem szczyt płotu. Nie wiem też jakim cudem nie dotknąłem go nogami, tylko całym ciałem zarysowałem łuk w powietrzu i spadłem na drugą stronę. Niestety chciało, że w tym samym miejscu był Franio, który szukał manierki, co mu wypadła z chlebaka przy skoku, więc ja z całym rozmachem nogą wyrzuciłem go w czoło. Dziw, że mu się nie stało. Później tylko przez kilka godzin narzekał na jakiś szum w głowie.

Przykucnęliśmy w pomidorach, a czas był najwyższy, bo Niemcy dobiegli płotu. Uważali jednak, że niemożli-

wym było przeleźć taki płot w przeciągu paru sekund, które nas dzieliły od pogoni. To też pobiegli nas szukać wzdłuż ogrodzenia. Teraz dopiero spojrziałem na ogrodzenie i zdziwiłem się. Nie miło jest pisać o sobie, zwłaszcza że nieraz są rzeczy, które wyglądają na przesadę, ale tu przekonałem się, że wola i strach znaczą dużo.

Koła wagonu stukały regularnie o szpary między szynami i zaczynało już szarzyć. Pociąg powoli dojeżdżał do miasta. No, i nareszcie Szczecin. Żeby tylko trochę szybciej, bo jasno się robi. Trudno będzie wyjść z dworca nie-dostrzeżonym.

Minęliśmy kilka mostów, kilka zwrotnic i wreszcie pociąg stanął. Ostrożnie wyjrzelismy ponad ściany wagonu i widzimy... niedaleko zieleni się brzeg Odry, porośły krzakami. Sama rzeka rozciągała się hen szeroko. Mgła poranna osłaniała nam brzeg przeciwny i mieliśmy wrażenie, że to morze. Jakoś nikogo wokół nie było widać, więc zeskończyliśmy z wagonu i posuwistym krokiem zbliżaliśmy się do zarośli. Nie biegliśmy tylko dlatego, aby nie zwracać na siebie uwagi. Bywało tak nieraz, że człowiek mało ze skóry nie wyskoczył, tak mu się chciało wyrwać, ale rozsądek mówił: ani mi się waży, trzeba udawać spacerowicza.

Jednak niemiła niespodzianka nas nie ominęła. Gdy doszliśmy do krzaków, zdawało się nam, że wszystko poszło dobrze. Tymczasem z tyłu tuż przy nas słyszymy: ręce do góry!... Serce nam się ścisnęło, na sekundę bić przestało, aż załomotało jak gołąb ustrzelony... Odwracamy się i widzimy szkopa z karabinem do strzału. Twarz miał paskudną, trochę wystraszoną i spojrzawszy na niego poculiśmy, że za najmniejszym odruchem gotów jest strzelać. Niby mogliśmy się nie dać tak odrazu, ale napewno jeden z nas by pozostał.

Okazało się, że to był wartownik przy dziale o. p. 4. doskonale zamaskowanym. Widział nas z daleka i czekał na nas. Trudno...

Zaprowadzono nas na wartownię. Po dokładnej rewizji i przesłuchaniu zamknęli nas. Będziemy czekać aż do zmiany warty, później odstawią nas gdzie indziej.

W zamknięciu, gdy się siedzi, można przed zastanowić. I tak posnuły się myśli przez głowę. Przed oczami stanęły ostatnie wypadki. Wpierw ucieczka z komenderówki, a nie łatwa była. Później trud, walka, głód i wieczne napięcie nerwów, zawsze to wrażenie gonionego zająca, to wszystko wydawało się tylko snem. Miły jest trud dla ludzi wolnych. Tak, to był tylko sen; jakiś dziwny nieprawdziwy, sen z bajki. Sen o wolności...

Teraz wpadliśmy w rzeczywistość. W marną rzeczywistość niewolnika.

Przyszła zmiana warty. Włoczyli nas przez cały Szczecin. Ażeby nas czy odróżnić od innych, czy też pohańbić, kazali przewrócić bluzki podszewką na zewnątrz. Może się im wydawało, że będziemy się czerwienić z tego powodu... Frajery.

Nam ta przechadzka sprawiała nawet pewną radość. Co krok widzieliśmy gruz. Szkoda tylko, bo to teraz nasze miasto.

W końcu oddali nas w ręce Gestapo. Pomimo to, że widzieliśmy, iż czekają nas przykre rzeczy — trzymaliśmy

fason. Nawet szeptaliśmy już o następnej ucieczce. Jakiś tam nadworny stróż, klnąc i częstując szturchańcami, zamknął nas w celi drewnianego baraku. (Gestapo było w drewnianych barakach, bo prawdopodobnie ich gmach był zbombardowany).

Po pewnym czasie, poprzez cienkie ściany baraku, usłyszeliśmy kobiece głosy i to polskie do tego. Natychmiast wszczęliśmy rozmowę. Dla nas, wiecznych karniaków, rozmowa z rodzajem płci pięknej to było coś nadzwyczajnego. A jeszcze do tego z Polką...

Jak by nie było, ani nasi przodkowie nie byli głupcami. Wynaleźli karę, ot taką sobie karę, więzienie. Ileż to jest ludzi, którzy sobie nie zdają sprawy, jaka to straszna kara. Uciąć komuś rękę lub nawet wydłubać oczy, uważam za znośniejsze, aniżeli pozbawić na zawsze wolności i możliwości obcowania z kobietą. Kto powiedział: «Raczej śmierć niż niewola» — dla mnie świętą rzekł prawdę.

Otóż dowiedzieliśmy się z rozmowy, że jedna jest Lwówianką i ma 17 lat, a druga ma lat 19 i jest Warszawianką. Ta młodsza powiada: «pokłóciłam się z gospodynią. Myłam naczynie, a tej starej coś się nie podobało i zaczęła mnie wyzywać od świni, od przestępczyni (bo ja byłam przedtem w obozie koncentracyjnym). Wreszcie zdawało mi się, że jest dość, więc stłukłam talerz na jej głowie. Teraz wiem, co mnie czeka, ale wytrzymam».

Miałam straszną chęć zobaczenia tej cwaniaczki i wziąłem się do podważania deski. Ona zaś z tamtej strony pomagała. Na nieszczęście wprowadzono do celi grupę ludzi. Byli to Rosjanie, cywile. Uciekinierzy i jeszcze za jakieś inne przestępstwa. Między nimi był jeden Ukraińiec z Żółtkwi. Po polsku dość słabo mówił, ale zawsze dobrze jest trochę pogadać, on przecież nie dawno z Polski. Miałem jeszcze trochę tytoniu, częstując więc wszystkich. Pa-

lić jednak trzeba będzie po jednym, by nie narobić za dużo dymu... Każdy już prawie wypalił po kolei, gdy drzwi się otwierają. Wywołują na przesłuchanie. Szkop, drań, poczuł dym i pyta: kto palił? Cisza... Wszyscy palili, więc głupi hym był, gdybym się przyznał. Ale kolega z Żółtkwi, co w najgłębszym kącie celi był zaszyty, wystąpił i ręką wskazał na mnie. Ja spojrzałem na niego, głupio mi się zrobiło, lecz nie miałem czasu na myślenie. Szkop wypchnął mnie za drzwi, zamknął celę i, klnąc, wyróżnął mnie w twarz. Raz i drugi — zacisnąłem zęby i patrzę mu prosto w oczy, a on na oślep walił, tylko głowa się przechylała to w jedną, to w drugą stronę. Cóż mogłem zrobić, za nim stało jeszcze dwóch Gestapowców.

Wepchnął mnie z powrotem do celi, a mnie tylko w głowie szumiało. Pierwsza myśl, gdy tylko przyszedłem do siebie, była zemścić się. Taką miałem chęć zemsty, że w oczach czułem łzy złości. Wtedy Franio zbliżył się do mnie i popatrzył w oczy. Zdaje mi się, że go rozumiałem. Powoli uspokoiłem się. Ten z Żółtkwi siedział w kącie, patrzyłem na niego... Powoli wyciągnąłem moje blaszane pudełko na tytoń, podszedłem do niego, podaję mu i mówię: masz, skręć sobie jeszcze jednego. On tylko odwrócił głowę. Za chwilę wywołano go na przesłuchanie. Potem, gdy wracał, słyszeliśmy odgłosy policzków za drzwiami. Wszedł do celi, a w ustach miał pełno krwi. Biedak... Może zrozumiał, a jeśli nie, to zrozumie.

Franio tylko patrzył bez słowa... Dobry był przyjaciel Franio. Uciekł z niewoli jeszcze przede mną. Teraz pracuje... Chce zrobić licencję, bo powiada, że tytuł agronoma to za mało. Uczy się też po polsku. Urodzony we Francji i naturalizowany — nie miał okazji w szkołach francuskich uczyć się polskiego. Franio wróci do Polski. Wróci wtedy, gdy wszyscy będą wracać.

MYŚLI

Gdy okręt tonie głupiec opatruje swe tłumoki, a nie idzie ratować statku, i przez to się gubi, bo gdy nawa ratunku nie ma, to i on ze swymi tłumokami utonąć musi.

(Piotr Skarga).

Zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska. Być zwyciężonym a nie ulec — to zwycięstwo.

(Józef Piłsudski).

Kto po sobie miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa.

(Juliusz Słowacki).

Trzeba żywemu duchowi, na to by żywym był, mieć w głębi swej coś, co jest jego sacrosanctum, — a nic, jeno coś zakorzenionego w Bogu, coś dłuższego od trumny, głębszego niż grób, taką świętością być może.

(Zygmunt Krasiński).

Nie mówny do ludzi «podnieście się ku zgodzie», ale «skłońcie się ku zgodzie». Widać więc, że do zgody potrzeba pewnego upokorzenia, pewnego skłonienia się pod prawidła od rozumu wyższe.

(Adam Mickiewicz).

Ludzie, którzy w nic nie wierzą i niczego gorąco nie kochają, nie rozumieją życia i nie poznają drogi do szczęścia.

(Eliza Orzeszkowa).

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć, i jego energia zwraca się przeciw życiu.

(Henryk Sienkiewicz).

Brak wszelkiej harmonii między dumą a pokorą przeszkadza wszelkiej wielkości.

(Zygmunt Krasiński).

Praca rozumna i wytrwała, która nie myśli o zbieraniu owoców w tydzień po posiewie, przebija góry, nad przepaściami przerzuca mosty.

(Bolesław Prus).

Głowy nasze bywają napelnione takim mnóstwem małych rzeczy, iż wielkie pomieścić się już w nich nie mogą.

(Eliza Orzeszkowa).

Bóg próbuje, Bóg często upadkiem zmusza człowieka do podźwignięcia się.

(Józef Ignacy Kraszewski).

Silniejszą obręczą jest miłość, niż groza.

(Henryk Sienkiewicz).

Nic tak nie wzmaga sił przeciwnika, jak wyrządzona mu krzywda.

(Ignacy Paderewski).

To nie jest łatwo stawać się podobnym bogom: trud to jest właśnie z tego dużego, że codzienny.

(Cyprian Norwid).

Nie jest ten uczciwym człowiekiem, co nie robi źle, ale ten, co robi dobrze.

(Henryk Sienkiewicz).

Tylko silni umieją przebaczać.

(Eliza Orzeszkowa).

Ze wszystkich ziemi ta najlepsza, najmiłsza, na której się człowiek urodził, zrósł, gdzie kości ojców, dziadów, pradziadów spoczywają.

(Józef Ignacy Kraszewski).

Charles Dickens

Charles Dickens był synem lichy płatnego urzędnicy w urzędzie wypłaty żołdu dla marynarki w Portsmouth. Dzieciństwo swe i młodość opisał z pewnymi zmianami w powieści «Dawid Copperfield».

Dickens, jako dziecko słabowite, nie wiele mógł przestawać ze swymi rówieśnikami, za to bardzo dużo czytał. Jeszcze jako dziecko prawie poznał znakomych angielskich powieściopisarzy realistycznych XVIII wieku. Wcześniej też lubił Dickens chodzić do teatru, nad którym wtedy w Anglii (i długo jeszcze potem) panował melodramat w guście mieszczańskim. W całej naturze Dickensa jest coś teatralnego; przejawia się to zarówno w jego postępowaniu osobistym jak i w wielu scenach jego powieści. Sam nawet przez jakiś czas później sposobił się do zawodu aktorskiego.

Gdy Dickens miał lat 11, przeniesiono jego ojca na lepiej płatne stanowisko do Londynu. Mimo to właśnie wtedy zaczęły się większe niż kiedykolwiek kłopoty pieniężne: nie było na służbę i Dickens zamiast się uczyć, musiał czyścić buty rodziny i pomagać matce w doglądaniu młodszego rodzeństwa. Gdy wreszcie ojciec dostał się do więzienia dłużniczego (instytucji specyficznie angielskiej, znanej nam na kontynencie Europy głównie z powieści Dickensa „Mała Dorrit” i innych), syn został umieszczony w fabryce czernidła na buty, gdzie za szylinga dziennie pełnił szlachetną funkcję naklejania etykiet na butelki. O tej fazie swojego życia, odmalowanej z goryczą w Copperfieldzie, Dickens później nawet w rozmowie wspominać nie chciał; śniła mu się po nocach, mimo że w fabryce traktowano go dość oględnie, jako dziecko „z lepszego domu”. Rodzina mieszkała blisko więzienia ojca, a jakiś czas nawet razem z nim w więzieniu. Szkołą chłopca w tym czasie były ulice Londynu i trudno zaprzeczyć, że więcej tam zebrał materiału dla swoich późniejszych powieści, niżby mu go dała była regularna nauka szkolna.

Nastaly wreszcie lepsze czasy, przez mały spadek udało się wyzwolić rodzinę z długów, ojciec opuścił więzienie, a rychło potem i kiego płatny urząd, by zostać później reporterem w jednym z wielkich dzienników.

Teraz syn mógł nareszcie dostać się do prywatnej szkoły internatowej, w której zresztą spędził tylko dwa lata i która kładła więcej nacisku na snobistyczny „dobry ton” niż na solidne wykształcenie. Już w wieku lat czternastu musiał Dickens wyruszyć ze szkoły w życie zarobkowe i został pisarzem u adwokata. Półtoraroczna praktyka w biurze adwokackim oswoiła go z zawiłymi technicznymi szczegółami prawa angielskiego, ale i napełniła pogardą dla prawa z jego przewlekłą procedurą i bezduszną formalistyką; zarówno swej znajomości jak i tej pogardzie miał potem dać pamiętny wyraz w „Ponurym domu” i innych powieściach.

Ożywiony typową dla epoki liberalnej ambicją polepszenia swych widoków życiowych przez samokształcenie, Dickens gorliwie rozszerzał swe horyzonty przez lekturę, uprawianą głównie długimi godzinami w bibliotece „British Museum”. Nauczył się także biegle

stenografować i dzięki tej umiejętności został wreszcie reporterem pisma „The True Sun” w Izbie Gmin, a wkrótce przeniósł się do większego dziennika „Morning Chronicle”, gdzie pracował jego ojciec. Oprócz poprawy bytu praca dla dzienników dawała mu sporo nowych wrażeń i idei. Oba pisma były organami „filozoficznego radykalizmu” nowych liberałów i domagały się tych samych reform, których rzecznikiem stał się potem Dickens w swych powieściach. Zyskała na pracy dziennikarskiej także niepomierne jego znajomość otaczającego świata społecznego; posyłano go jako sprawozdawcę na wiece, zebrania i uroczystości po całym kraju, gromadził więc to doświadczenie, które później tak panoramicznie rozłożył przed nami w Pickwicku.

„Pickwick” stał się opisem wędrowki „rzemiennym dyszlem” po kraju i zarazem encyklopedią zwyczajów i obyczajów, typowych środowisk, scen i figur starej prowincjonalnej Anglii, widzianej z perspektywy Londyńczyka...

„Pickwick” miał sukces niebywały: z 400 egzemplarzy nakład między pierwszym a ostatnim zeszytem podskoczył do 400.000; dziś wydania powieści „w pierwotnych zeszytach” sprzedają się po fantastycznych cenach na rynku bibliofilskim.

W swych licznych powieściach Dickens poruszył cały szereg aktualnych w jego epoce problemów społecznych; za tarczę swych pocisków satyrycznych obrał*) sobie system gminnej opieki nad ubogimi, jaki właśnie unormowała była ustawa z 1834 roku i zajął się tą stroną nowej ustawy, która dotyczy opieki gminnej nad opuszczonymi dziećmi. Po gminnej opiece nad opuszczonymi dziećmi obrał Dickens z kolei inny problem społeczny z dziedziny wychowania za temat swego najbliższego dzieła powieściowego — mianowicie krzyczące wady staroświeckich prywatnych szkół internatowych... Systematyczne niedokarmianie dzieci, potworny brak higieny w warunkach życia, tyrańskie kary cielesne i inne — wszystko to składa się na obraz nader jaskrawy, choć Dickens, jak stwierdzono, czerpiąc wiele materiału z aktów głośnego procesu o epidemii w pewnej źle prowadzonej szkole na prowincji, pominął wiele najdrastyczniejszych szczegółów ze względów delikatności.

Przez szkic „Infant Gardens” przysłużył się popularyzacji w Anglii ochronek froeblovskich. Jeżeli te nieustające troski wielkiego pisarza o los dzieci i o ulepszenie szkolnictwa nie wywarły może określonego wpływu na ustawodawstwo i administrację, to w każdym razie ciągle apele do sumienia narodowego w tym względzie nie były bez moralnego znaczenia, i jest może coś symbolicznego w przypadkowym fakcie, że rok śmierci Dickensa jest zarazem rokiem epokowej ustawy, tworzącej prawdziwie powszechne i nowoczesne, państwowe szkolnictwo elementarne w Anglii.

W powieści „Mała Dorrit” Dickens sięga do środowiska dwukrotnie nam już ukazanego (w „Pickwicku” i w „Copperfieldzie”), i tym razem większą część akcji powieści umieszcza w więzieniu dłużniczym. W jednym epizodzie (tej powieści) geniusz hu-

morysty i tu zajaśniał, — a mianowicie w satyrycznym opisie „ministerstwa zagadywania” (Circumlocution Office). W obrazie tym Dickens rozsunął przed nami wieszczą iście wizję etatystycznej biurokracji naszych dzisiejszych dni, a w odniesieniu do Anglii ówczesnej — w której tego rodzaju objawy były dopiero w początkach — dał wyraz swemu sceptycyzmo-

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Na tropach Smętka

(W y j ą t k i).

„...Ale dźwięk mowy polskiej ma w sobie snadź coś słodkiego dla tych ludzi, jakiś aromat zakazanego owocu. Bronią się, cofając od rozmowy, nasłuchują jednak każdego polskiego słowa, wciągają je w całe swoje jestestwo, delektują się jak czymś, co trzeba od siebie oddalić».

Kiedy tak futrujemy się zupką kminkową na zimno z pływającymi w niej słodkimi ciasteczkami (diabelski wymysł), słyszę nad sobą:

— Djobo! Toć waś mówzio po mazursku?

Wiem, że słowo «diabeł» w krainie Smętka jest przekleństwem potocznym, jak u nas «psiakrew» i śląskie «płeron», i służy też do wyrażania zdumienia.

Nie obrażam się więc, a przeciwnie, czuję, że ów «waś» odrazu przerzuca między nami więź. Więc odpowiadam szybko :

— Nie po mazursku, tylko po polsku.

— Toć nie cygańta — odpowiada młody dźwięczny głos — dyć jo syćko rozumiem. — Podnoszę głowę. Przede mną stoi młody chłopak lat dwudziestu kilku i życzliwie śmieje się wspianymi zębami. Rozśmieszył nas i wzruszył.

— Jak nie wierzycie, to mówcie z córką, taki młody dziewczak nie będzie cygańta.

Sancho Pansa zaczyna jak z nut. W miarę jak to trwa, twarz chłopaka przybiera całą gamę uczuć : widać na niej najpierw błogie zadowolenie, potem skoncentrowaną uwagę, wreszcie silne wzruszenie.

Chłopak «zakleszczył się» (zapalił się), wali mnie po ramieniu tak, że mi ręka cierpnie i krzyczy na całą karczmę jak w polu :

— Toć jo syćko rozumiem, toć jo syćko rozumiem. Nie cyganita. To tak ludzie w Polsce mówio. Dyć to samo gadko. Toć jo moge wsendy Polskom reizować...

Jest jak ów pan Jourdain, który nagle się dowiedział, że mówi prozą. Świadomość, że on, dziecko zaszczutego ludu metysów, miszvolku, którego dzieciom w szkołach w XX w. przyłapanym na polskiej rozmowie, kazano nosić hańbiącą deskę z napisem Pollack, jest krewnym, jest krew z krwi wolnego narodu, który tuż przez granicę ma swój rząd i swoje wojsko... Świadomość, że oto dosyć tę granicę przekroczyć, a będzie mówił językiem pełnoprawnym, którym tam zapewne mówi i policjant i wójt i wszyscy aż do najwyższego generała...

Skłębione uczucia nie mogą sobie znaleźć ujęcia w słowach. Patrzy rozjaśnionymi oczami i powtarza «toć to rozumiem», jakby obmacywał jakiś cenny a nieogarnięty jeszcze całkowitą świadomością dar.

— Psiwa — wołał do gospodarza — psiwa dla nich (to znaczy dla mnie) i dla frejlinki. To nama poziedajo, co Poloki lichy naród, a to chłopcy fest...

Nowe palnięcie w ramię wali się na mnie jak grzmot.

wi wobec wiary całego pokolenia w zbawczą siłę społeczną reform czysto politycznych... i w decydujące znaczenie maszynierii politycznej dla dobrobytu i pomysłowości narodu.

Dr. Roman DYBOWSKI

*) w Twiście.

Powrócił z Oświecimia

O przeżycia w obozie — gdy go się zapytasz —
Zwykle jest wstrzemięźliwy i nie mówi wiele
Zwykle uśmiech pół-smutny na twarz mu zawita,
Przeżycia te trudno ująć w słowa — przyjacielu.

Czyż ci mogę wyrazić w słowach tych na codzień
W słowach trosk codziennych, w słowach małych, znanych
Choćby jeden dzień życia tam u nas w obozie? —
Ty tego nie zrozumiesz nigdy mój kochany...

Ty nie możesz zrozumieć całej grozy przeżyć:
Każdy dzień z twarzą kąta patrzący przez druty
Logiką myśli każąca w życie swe nie wierzyć
A mimo to nadziei wątek co dnia snuty. —

Ty tego nie rozumiesz lub rozumiesz błodo
Tego się nie opowie w słowach zwykłych, prostych
O tłumach dzieci do pieca wpychanych gromadą
O gołych trupach zamarzłych od mroźowej chłosty.

O czaszce przyjaciela śmiejącej się z Ciebie
Że masz jeszcze skrę wiary w swoje uwolnienie.
Nie! Wybacz mój kochany że wspomnienie grzebie
Nie! Wybacz mój kochany, że ten temat zmienię.

I oczy mu ciemnieją, martwieją i gasną
Czasem zadrży nieznacznie przy głośniejszym słowie
Wzdrygnął się nagle... ktoś wchodząc głośniejszym głosem
Potem uśmiech — : przepraszam, ja już nic nie powiem...

W. BOCHENEK

ZEZEM

POLACY W ANGLII

Mowa i sprawozdanie.

Na polskim zebraniu, gość honorowy, polityk angielski, przemawiał tak :

— Bardzo was Polaków kochamy, bardzo was cenimy, jesteśmy dla was pełni uznania, ale swoją drogą musicie pamiętać, że Polska nie jest pępkiem świata. Zbyt jesteście niecierpliwi, zbyt zaciętrzewieni, hałaśliwi, zbyt zapatrzeni w siebie. Jesteście też zbyt pamiętliwi swych krzywd i zbyt powściągliwi w języku. Zapominacie, że dobry pokój jest ważniejszy niż granica przesunięta o parę mil w tę czy w tamtą stronę... W polskim piśmie sprawozdania o tej przemowie brzmiało tak:

«...Przedstawiciel brytyjskiego świata politycznego wyraził swój podziw dla Polski i podkreślił szczerą więź sympatii łączące oba kraje».

Upajamy się zdawkowymi, należącymi do protokołu komplementami. Ale nie chcemy słyszeć nieprzyjemnych rzeczy. Cele powojenne.

Polski członek Rady Narodowej mówi przez radio :

— Po wojnie wolność, demokracja i sprawiedliwość będą udziałem każdego Polaka.

Angielski poseł do Parlamentu oświadcza publiczności :

— Po wojnie każdy Anglik musi mieć refrigerator, maszynę do prania i bieżącą ciepłą wodę!

KAROL ZBYSZEWSKI.

Mimochodem

WRÓCIMY

Zbliża się szósta rocznica smutnego, najsmutniejszego w dziejach naszych września. To było tak dawno, ale dziwne skojarzenie w mózg się wpłata. Wtedy był początek — dziś już koniec wojny! Wtedy opuszczaliśmy kraj, by powtórzyła się i zakończyła zwycięstwem, jeszcze raz, stara prawda zbrojnej walki o Polskę. Dziś spoglądamy z rozrzedzeniem w stronę Polski i szukamy dróg powrotu. Idziemy do Niej myślą i tęsknotą. Świadomie czujemy Ją w swych żyłach i krwi, w każdym nerwie, każdym tętnie serca. Wiemy, że jesteśmy żywą, biologiczną komórką tego Narodu, który walką nieustanną, ofiarą i poświęceniem bezgranicznym, pomimo sprzyśnięcia wszelkich mocy piekielnych — zdobył sobie prawo do wolności.

Nie krwawmy sobie raz jeszcze serca wyliczaniem, ile milionów poległych i zmarłych, wśród jakże strasznych cierpień, straciłiśmy. Ale powtórzmy sobie raz jeszcze że wszyscy oni, dzieci i bezbronni, starcy i kobiety — to nie tylko niewinne ofiary — to polegli w walce o istnienie Polski.

Polegli zasłużyli się Polsce, ale niestety nie wrócą. Chcą i powinni powrócić przede wszystkim ci, którzy o powrót do Ojczyzny walczyli przez z górą 5 lat, często bez żadnych wiadomości z domu i od bliskich — żołnierze polscy; potem jeńcy wojenni i deportowani. Bramy oswojzonej od wszystkich wrogów Ojczyzny muszą być dla nich szeroko otwarte, jak serca tych wszystkich, którzy na nich tam czekają. Sprowadzić trzeba także uratowane dzieci z tych wszystkich dalekich kątów świata: z Afryki i z Nowej Zelandii, zewsząd, dokąd je zagnała dola tej nieludzkiej wojny. Powrócą też wszyscy inni rozsiani po tylu krajach, tylu krajom oddawszy zdrowie i siły. Niema wychodźców i uchodźców — są tylko Polacy, mający jedno pragnienie i jeden cel — Polska.

Bo logika jest prosta i niezawodna : nie będzie Polski bez Polaków ; im więcej ich wróci, tym mocniejsza będzie Ona.

Ale nie wszyscy jeszcze widzą jasną przed sobą drogę powrotu. Bo choć umilkły już strzały, ucichł huk bomb i choć nie słychać warkotu motorów ziejących ogniem i żeżem — to gubimy się jeszcze w tragicznym zamęczeniu nie tylko wypadków ale i odwróconych pojęć, wykształwionych idei i krzyczących zakłamań.

Z wiarą i ufnością jednak patrzymy na Polskę, w której ześrodkowuje się wszystko co jest najwznioślejsze w Narodzie. Tymczasem, oczekując ze spokojem radosnej chwili powrotu — módlmy się słowami natchnionej poezji Łobodowskiego:

«Ojcie nasz, który jesteś na ziemi i w niebie

Niech się królestwo Twoje wszędzie rozwieliżni
i Twe służki w nas znajdzie nad inne najczęściej,
abyśmy powracali; wzruszeni i trwożni,
z popiołów odgrzebywać zmarnowane szczęście.

Nie wódz nas na pokuszenie i od złego zbaw nas,
Skrzydła stargane wyprostuj do lotu,
i wzrok daj ostry, aby stopa trafna
znalazła ścieżki rychłego powrotu.

Lecz jeśli na zagładę skazujesz nas gniewnie,
by od krwi polskiej było przyszłym wiekom żytniej,
to chociaż wnukom po latach zapewnij
zwycięstwo ducha w swobodnej Ojczyźnie.

M. R.

Miedzy nami

ROCZNICA ŚMIERCI ŚP. WŁADYSŁAWA WAŻNEGO.

W dniu 19-go sierpnia 1944 w Montigny en Ostrevent zginął ś. p. Władysław Ważny b. kierownik ogniska Polskiej YMCA w rejonie Montmirail, oficer W. P. i członek Armii Oporu (P.O. W.N.) — zabity w bestialski sposób przez Gestapo, w odwecie za wykrycie przezeń wielu wyrzutni bomb latających na terenie Północnej Francji.

Ś. p. Władysław Ważny, lubiany i ceniony wśród braci imkarskiej, skorzystał z pierwszej okazji, by walkę intelektualną z wrogiem, walkę na umysły i serca zamienić na opór bezpośredni, walkę czynną — do której pociągał Go temperament, męskie poczucie krzywdy i gorąca miłość Kraju.

Rocznicę śmierci Bohatera uczciła Polonia w Montigny en Ostrevent w sposób bardzo uroczysty. Ś. p. Władysław Ważny swą odwagą i poświęceniem dla sprawy zyskał wśród miejscowych Polaków wśród których żył i działał, wiele czci i sympatii.

Cześć Jego pamięci!

IMKARZE POSZUKUJĄ SWYCH RODZIN

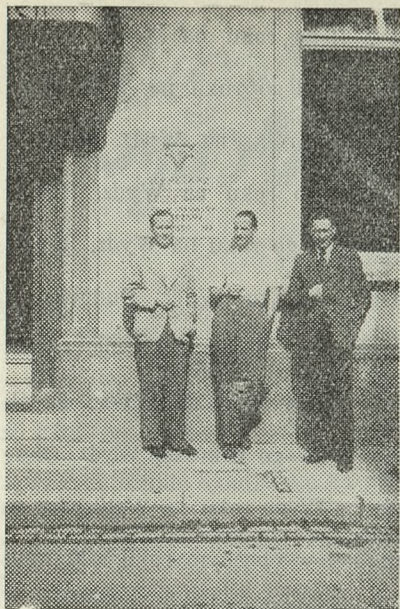
Anna Filipkiewicz w Murnau (górna Bawaria) poszukuje swego brata Antoniego Filipkiewicza, który z początkiem czerwca wyjechał z Mauthausen do Francji. Wiadomości do Polskiej YMCA we Francji.

Aleksander Zawadzki z Krakowa poszukuje swej ciotki Wróbel Stefani, lat 60, zamieszkałej ostatnio w Berlinie, Kolonie Hampel 22a. 18. Koby coś wiedział o niej proszony jest o podanie wiadomości do Polskiej YMCA we Francji.



Kantyna Polskiej YMCA w Lille (Nord)

Foto Szczapa.



Imkarze z Polski — pp. Rawicz — Kleczkowski, Chmieliński i Minkow — przesyłają tą drogą pozdrowienia swym rodzinom, przyjaciółom i kolegom.

OPLATY NA KURSACH KORESPONDENCYJNYCH POLSKIEJ Y. M. C. A.

W obszernej swej działalności kulturalno-oświatowej — Polska Y.M.C.A. we Francji prowadzi m. inn. korespondencyjne kursy :

Handlowe, Techniczno-Budowlane oraz Ogólnokształcące

Doniosłość tych wszystkich kursów i konieczność prowadzenia ich nadal wykazała praktyka: cieszą się one dużym wzięciem zarówno wśród dawnej jak i nowej emigracji, która czerpie z nich wiedzę fachową z myślą o wykorzystaniu jej dla dobra odbudowującego się kraju. Dotychczas kursy te były bezpłatne. Opierając się jednak na dotychczasowym doświadczeniu — stwierdzić należy, że pewien odsetek słuchaczy odpada w trakcie trwania kursów. Wynika to po części ze zbyt pochopnego zapisywania się na kursy, które nie kosztują.

Ponieważ jednak możliwości techniczne drukowania i wysyłki skryptów są ograniczone — cierpi na tym tylko ta część kandydatów, która, mając naprawdę szczerą chęć i mocne postanowienie kształcenia się — nie została przy-

jęta na kursy z powodu braku miejsca. W dążeniu więc do pewnej selekcji i stabilizacji słuchaczy — Polska Y.M.C.A. we Francji zamierza zreorganizować dotychczasowe podstawy nauczania na swych kursach korespondencyjnych przez wprowadzenie opłaty.

Każdy więc kandydat na kursy — zanim zapłaci — zastanowi się niewątpliwie nad sobą, czy istotnie zamierza studiować i pracować nad pogłębieniem swej wiedzy, a gdy już się zdecyduje i wniesie opłatę — będzie z pewnością chciał wytrwać do końca.

Opłaty na wszystkich rodzajach kursów korespondencyjnych będą jednakowe.

Wynosić one będą 500 fr. za kurs z tym, że przy zapisie słuchacz obowiązany będzie wpłacić 300 fr., resztę zaś t. j. 200 fr. — po 4-ej kolejnej wysyłce skryptów. Poza tym przy wydawaniu świadectw z ukończenia kursów pobierana będzie opłata w wysokości 100 fr.

Jeżeli się zważy, że różne korespondencyjne kursy we Francji pobierają przeważnie opłaty od 2 tys. fr. wzwyż — to widać, że opłaty na korespondencyjnych kursach Polskiej Y.M.C.A. mają cel pedagogiczny, a nie pokrycia rzeczywistych kosztów związanych z prowadzeniem tych kursów.



Bardzo popularny w Paryżu kwartet oficerski, kierowany przez Imkarza E. Jodłowskiego — śpiewał często w Klubie YMCA i na różnych imprezach. Obecnie przestał istnieć, ze względu na wyjazd członków zespołu.

Z Internatu Polskiej Y.M.C.A. w Nimes

Dnia 8 lipca 1945 r. odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego w Internacie Polskiej Y. M. C. A. w Nimes. Na święto to przybyli specjalnie Prezes Polskiej Y.M.C.A. p. J. E. Kułakowski, ks. dziekan Purgał, Delegat P.C.K. p. Edmund Bruchwański i Delegat Zw. Polaków p. Stefan Radwan.

Na program tego dnia złożyły się :

Godz. 10-ta — Msza św. z kazaniem, odprawiona przez ks. Dziekana Purgała;

Godz. 11-ta — Przemówienia i rozdanie nagród wychowankom Internatu przez p. Prezesa Polskiej Y.M.C.A.;

Godz. 13-ta — Wspólny obiad,

Godz. 19 min. 30 — Wspólna kolacja;

Godz. 21-ta — Wieczór artystyczny.

Chwila zakończenia roku oczekiwana była przez naszą młodzież już od kilkunastu długich dni. A powodów do gorączkowego wyglądu tego momentu było sporo... Była to więc chęć oglądania dostojnych gości, tak w tym roku rzadkich i w takim licznym gronie, ciekawość niez-

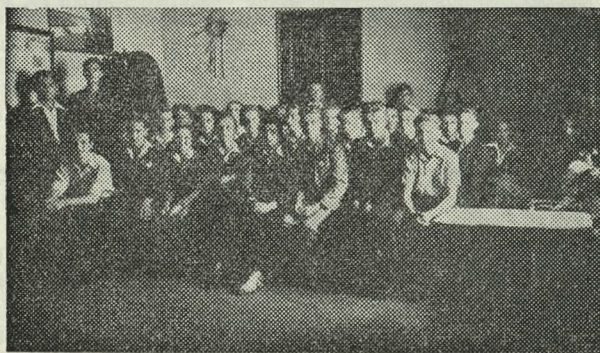
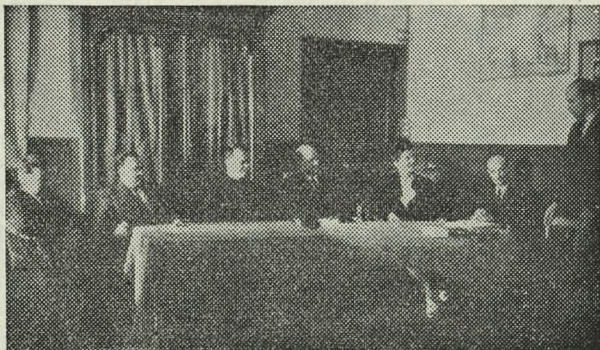
spokojona co do niespodzianki, jaką mógłby kryć «róg obfitości», ukryty gdzieś w «rogu» tajemniczej limuzyny Pana Prezesa, nadzieja wielu uczniów na rekompensatę (w postaci nagród) za dobrą pracę w ciągu roku, różne dania na obiad i kolację z podwójnym deserem (w którym szczególniejszym powodzeniem cieszyły się wysmienite prawdziwe, pełnowartościowe, przedwojenne lody), no i wreszcie zapowiedź rozpoczynających się wakacji. Chęć popisania się przed gośćmi różnymi występami grała tu też niemałą rolę. Bo przecież pocóżby robić tyle wysiłków i przygotowań, gdyby nie było przed kim się z tym «pochwalić», zaprezentować... Wszakże i scena i dekoracje (na miarę przynajmniej «oper w Nimes») i kostiumy i orkiestra i chór — wszystko to liczyło na jakiś sukces... Nawet spokojne lampy, okna, ściany, posadzki i dziedzińce nie zostały oszczędzone, bo kazano się im «odświeżyć»...

Całość wypadła bardzo dobrze i byłoby wszystko jeszcze harmonijniej się zakończyło, gdyby ów dzień uroczy-

sty nie był przyćmiony uczuciem troski wywołanej chorobą Dyrektora Internatu p. T. Ciaglińskiego. Wszyscy żalowaliśmy, że niespodziewanie «złożony w bólu i pie-rzynką spowitły» nie mógł się cieszyć z nami i otoczyć dostojnych gości właściwą sobie serdecznością.

W imieniu zatem Dyrekcji Internatu i wychowanków witał władze Polskiej YMCA i pp. Delegatów-Gości p. Gulczyński, zastępca Dyrektora i kierownik tutejszego Ogniska i wychowawca.

Z przebiegu rozdania nagród podkreślić trzeba przemówienie p. Prezesa Polskiej Y. M. C. A., który w słowach owianych ojcowską troskliwością pełnych serdecznego sto-sunku i życzliwości, udzielał uczącej się tu młodzieży wskazówek na drogę nowego życia, zachęcając ich do ciągłej wytrwałej pracy nad sobą i dla dobra naszego spo-łeczeństwa. P. Stefan Radwan, przedstawiciel Związku Po-laków podnosił zasługi Polskiej Y.M.C.A. w prowadzeniu tak ważnej placówki wychowawczej dzięki której mło-dzież emigracyjna może nie tylko zdobywać potrzebne wy-kształcenie zawodowe, ale, co jest również ważne, zdrowe wychowanie moralne i obywatelskie oraz przygotowanie do życia społecznego.



Goście i wychowankowie podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego.

W ciągu uroczystości Prezes Polskiej Y.M.C.A., p. Zdzi-sław Woydat jak również i Delegat Centr. Związku Po-laków wyrazili również pełne uznanie dla Dyrekcji In-ternatu Y.M.C.A., której oddaną pracę mieli ju» sposob-ność nieraz widzieć i jeszcze raz stwierdzić teraz w roz-mowach z uczniami jak i w rzucających się w oczy re-zultatach.

Po przemówieniach p. Prezes wręczył nagrody, przyzna-ne przez niego na wniosek Dyrekcji Internatu, następują-cym uczniom:

- 1) Maciągowi Zygmuntowi z I-go roku na Wydz. Handl. — nagr. I-sza;

- 2) Krygierowi Józefowi z II-go roku na Wydz. Handl. — nagr. I-sza;
- 3) Horakowi Kazimierzowi z II-go roku na Wydz. Me-chanicznym — nagroda I-sza;
- 4) Bogdanowi Janowi z II-go roku na Wydz. Mechan. — nagr. II-ga;
- 5) Salomonowi Janowi z III-go roku na Wydz. Handl. — nagr. I-sza;
- 6) Strączkowi Wacławowi z III-go roku na Wydz. Handl. — nagr. II-ga;
- 7) Kidzie Janowi z III-go roku na Wydz. Budowl. — nagr. I-sza;
- 8) Paczkowskiemu Maurycemu z IV-go roku na Wydz. Handl. — nagr. I-sza;
- 9) Orwatow Henrykowi z IV-go roku na Wydz. Kreśl. — nagr. I-sza;
- 10) Świderkowi Ryszardowi z IV-go roku na Wydz. Obu-wia — nagr. II-ga;
- 11) Szafarzowi Kazimierzowi z IV-go roku na Wydz. Kraw. i kroju — nagr. II-ga;

W wynikach nauki szkolnej w obecnym roku szkolnym uzyskali :

« Brevet elementaire » :

- 1) Orwat Henryk ; 2) Świder Ryszard ; 3) Krużyński Edward.

« Brevet industriel et Cert. Apt. Profes. » :

I. na wydz. handl. :			
Gogolewski	13/36	Salomon	5/36
Paczkowski	3/11	Strączek	11/36
Pikuła	3/36		
II. na wydz. mech. i budowl.:			
Jurkiewicz	70/80	Wawrzyniak	69/80
Kida	32/80	Zabłocki	32/80
Maciejewski	40/80	Żur	20/80
Skrzypski	45/80		

Promocje z I-go na II-gi rocznik otrzymali:

- 1) Cwiakała Henryk, 2) Bogatko Alfred, 3) Jarosz Jan, 4) Hawro Andrzej, 5) Kądzelski Jan, 6) Maciąg Zygmunt, 7) Malinowski Władysław, 8) Sobusik Tadeusz, 9) Telega Bronisław.

Z II-go na III-ci rocznik :

- 1) Bogdan Jan, 2) Horak Kazimierz, 3) Krygier Józef, 4) Mazur Henryk, 5) Piśarczyk Henryk, 6) Szopa Edward, 7) Walentek Kazimierz, 8) Wolsztyński Jan

Z III-go na IV-ty rocznik :

- 1) Gogolewski Edward, 2) Jurkiewicz Stanisław, 3) Kry-gier St., 4) Kida Jan, 5) Maciejewski Marian, 6) Majka Bo-leśław, 7) Matuszak Stanisław, 8) Salomon Jan, 9) Strą-czek Wacław, 10) Skrzyński Józef, 11) Pikuła Stanisław, 12) abłocki Zygmunt, 13) Żur Mieczysław.

Ukończyli całkowicie IV-ty rok specjalizacji :

- 1) Cypryk Marian (wydz. mech.-automob.), Dudoń Ed-ward (wydz. mech.-automob.), 3) Orwat Henryk (wydz. kre-ślarski), 4) Paczkowski Maurycy (wydz. handlowy), 5) Sza-farz Kazimierz (wydz. kroju i konfekcyjny), 6) Świder Ryszard (wydz. mech. fabr. obuwia i model.).

Wypada jeszcze dodać kilka słów o bardzo dobrze uda-nym wieczorku rozrywkowym, w którym widać było sta-ranne opracowanie, wiele włożonej pracy jak niemniej dobrą grę uczniów — amatorów. Szczególnym uznaniem cieszyły się tańce narodowe oraz ładny obrazek scenicz-ny pł t. «Góry nasze góry».

Nie potrzeba dodawać, co kilkakrotnie stwierdzali nasi drodzy goście, że atmosfera była miła, serdeczna, tętnąca werwą i zapałem. Wieczór ten pozostanie na pewno w miłych wspomnieniach zarówno gości jak i wszystkich wychowanków Internatu.

Życie polskiego

O PADEREWSKIM

(Sprawozdanie z akademii urządzonej przez Stowarzyszenie Studentów Polskich w Lyonie przy Y.M.C.A.)

Świątelnica Y.M.C.A. zappełniła się powoli gośćmi z Lyonu. Ze wspaniałego portretu Paderewskiego wykonanego przez kolegę Koneckiego patrzą na przybyszów oczy energiczne i szlachetne. Nasiłowski kręci się wszędzie jak zawsze i szuka kandydata na odczytanie wiersza o Paderewskim.

Ale widać zadowolenie na jego twarzy, bo i fortepian jest na sali i pani pułkownikowa uśmiecha się zachęcająco i goście przychodzą licznie...

I nagle... czekano bowiem na ten moment już od pół godziny, N. zaczyna zamawiać ciszę zmaconą szeptami przybyszów i kolega Jutisz wstępuje na scenę.

W krótkich słowach wita gości. Następnie Nasiłowski mówi o życiu Wielkiego Patrioty, jakim był całe życie Ignacy Paderewski.

Kilka deklamacji i wpadamy w nurty muzyki Szopenowskiej... Owija nas Dźwięk geniusza, wlewa się w nas tęsknota za Krajem, od fortepianu schylają się majestatycznie drzewa polskich puszczy i szumią nam melodyjnie i słodko.

Tułaczka rysuje się na twarzach zmarszczkami skupienia, oddechy skraplają się w ciszy wysnionej przez nauczycieli, wzruszenie pulsuje w sercach.

Thuką się długo fale braw. Zbliży się Paderewski do nas, siwe włosy spadają nad klawisze, spadają rozwiane jak mleczne drogi wspomnień, schyla si Wielki Staruszek nad topielą dusz, wyrzywa piękno z opłatków melodii i zasypia w nas spokojnie.

Kolego, czy nie przemawiał wtedy do nas Kraj?

Czy fortepian nie był naszym powiernikiem?...

Słowa utulone w Duchu najlepiej nam to powiedziały, gdybyśmy wracali do domów, pełni Jej Nieśmiertelności.

Bolesław Szpiega.

Z ŻYCIA SPORTOWEGO W OBOZIE

EWAKUACYJNM W. P. W SORGUES

W marcu b. r., gdy tylko słońce wiosenne lepiej przygrzało, rozpoczęła się historia drużyny piłkarskiej Obozu. Zorganizował ją i poprowadził do serii zwycięskich spotkań lekarz-dentysta Obozu ppor. Dubiniewicz.

Po pierwsze laury w niezbyt jeszcze ustalonym składzie i po słabym treningu — ruszono do Avignon — gdzie w 2-ach kolejnych spotkaniach pokonano tamtejszą francuską drużynę w stosunku 3 : 2 i 3 : 1. Była to obustronna niespodzianka, po której ze wszystkich stron spłynęły się zaproszenia dla drużyny celem rozegrania dalszych zawodów w okolicy. Drużyna miała wkrótce wszystkie terminy zajęte.

Następna wycieczka do Caromb — przynosi nowe zwycięstwo nad tamt. drużyną po pięknej grze i nadzwyczaj gościnnym przyjęciu — w stosunku 4 : 3.

Potem przychodzą «na rozkład» drużyny:

1. Carpentras — dwukrotnie, 4 : 2 i 3 : 1.

2. Le Pontet — dwukrotnie, 3 : 0 i 3 : 1 i wreszcie z «oprawą» b. uroczystą, kwiatami i graniem hymnów narodowych — mecz z drużyną w Sablet zakończony wysokim zwycięstwem 7 : 3.

Drużyną zaopiekował się troskliwie Dca Obozu Płk. dypl. Bogusz, który zainicjował turniej piłkarski dla drużyn wojskowych na terenie XV Region Militaire, fundując dla zwycięzcy piękny puchar przechodni. Do turnieju zapisały się dwie drużyny polskie, cztery drużyny angielskie i dwie francuskie ekipy. Wreszcie po wielu rozgrywkach do finału zakwalifikowały się: angielska drużyna R.A.F. IV Base — i pierwsza drużyna Obozu (P.C.E. 1). Na pięknym stadionie miejskim w Carpentras wobec tłumów publiczności oraz przedstawicieli armii francuskiej, angielskiej i polskiej i cywilnych władz miejscowych stanęły obie drużyny do decydującego spotkania finałowego w dniu 3. 6. 1945. Po ceremoniach powitalnych, wymianie bukietów i odegraniu hymnów państwowych, sędzia francuski dał znak do rozpoczęcia zawodów. Gra była b. żywa i emocjonująca zwłaszcza w pierwszej połowie, gdy wynik był niepewny. W drugiej zamieniła się w trening na jedną bramkę przyчем zmarnowano szereg murowanych pozycji. Wszyscy grali na Peterka chcąc mu dać okazję do strzelenia 5ciu bramek. Jeden z sympatyków bowiem ofiarował mu piękny zegarek wartości 10.000 frs. pod warunkiem uzyskania 5 goli. Wynik ostateczny 10 : 2 (4 : 2) dla naszej drużyny, która tym samym zdobyła puchar. Bramki strzelili: Peterek — 5, Stankusz — 3, Zur — 2. Olbrzymia rzesza widzów dopingowała naszych graczy. Kibice i sympatycy mieli prawdziwą ucztę, a wnosząc na widownię wiele humoru dowcipnymi okrzykami, stworzyli miłą atmosferę z naszych niezapomnianych boisk i spotkań w Polsce.

W dniu 17. 6. 45. na boisku sportowym w Avignon odbyło się spotkanie piłki nożnej między reprezentacją 1-szej Armii Francuskiej z Marsylii a 1-szą drużyną P.C.E. — Sorgues. Drużyny wystąpiły w składzie:

Goście: Suau, Cessio (kpt. drużyny), Vargelata, Ales, Furen, Pujazon, Giraud, Hanson, Nemzoff, Chastagnier, Domasso.

P.E.E. Mrugała, Michalski, Seifert, Fifowski, Stankusz, Gawęda, Zur, Sikora, Peterek, Oleś, Głębocki.

Po przerwie nastąpiło przegrupowanie składu i zmiana niektórych zawodników a mianowicie: Stankusz przeszedł do ataku — Fifowski na środek pomocy, na prawą pomoc świeży Kozlik. Siłkorę zastąpił Klimczak.

Gra była prowadzona w ostrym tempie z przewagą techniczną gości, mimo to jednak wspaniała i pełna poświęcenia obrona bramki przez Mrugałę oraz Michalskiego nie pozwalała uzyskać gościom wyniku. Drużyna P.C.E. kilkoma dobrymi przebojami osiągnęła zwycięstwo w stosunku 3 : 0 (2 : 0). Bramki strzelili: Peterek 1, Głębocki 1, jedna samobójcza. Na wyróżnienie w drużynie francuskiej zasługują Hanson obrońca Cesso, przy wyrównanym poziomie technicznym pozostałych graczy. W drużynie P.C.E. dużo niedosięgnięć tym razem. Na pochwałę zasłużyli :

Fifowski, Gawęda i Michalski.

Przeigrana w stosunku 3 : 0 — krzywdzi nieco gości.

Po meczu odbyła się wspólna kolacja w kasynie podoficerskim Obozu, przeplatana śpiewem, toastami na cześć przyjaźni polsko-francuskiej solowymi produkcjami artystycznymi gości. Nastrój b. miły i koleżeński. Po posiłku obie drużyny udały się na zabawę zorganizowaną przez miejscowe władze francuskie w miejscowości Athen la Paluds.

Strajk złoczyńców

(U T O P I A)

W roku 2222-gim, czyli w roku, w którym zdarzyć się coś nadzwyczajnego było powinno — zdarzyła się rzecz taka.

Wszyscy ludzie, których podciąga kodeks pod miano złoczyńców — zastrajkowali.

Były do tego czasu strajki różne. Był strajk kolejarzy, strajk robotników fabrycznych, strajk listonoszów, strajk tramwajarzy, był strajk kelnerów, strajk szewców, stolarzy, piekarzy i wogóle rzemieślników i wogóle ludzi wytwarzających jakiś pożytek, jakieś dobro.

Ale żeby producenci zła zastrajkowali, żeby temu lub owemu złoczyńcy przyszło na myśl zastrajkować w swoim złoczynstwie, na to potrzeba było aż roku tak kabalistyczne skonstruowanego, jak ów rok dwutysięczny dwuchsetny dwudziesty i drugi.

Zła nie chce pełnić nikt a nikt. Niech będzie samo dobro na świecie — powiadają złoczyńcy i zwijają warsztat. Złodziej nie kradnie, zbójca nie zabija, gwałcień nie gwałci, kłamca nie kłamie, łapówkarz nie przyjmuje łapówek, zdzierca nie zdziera, krzywoprzysięzca nie przysięga krzywo, cudzołóżnik nie cudzołoży, oszczerca, obmówca i potwarca mówią tylko o ludziach dobrze, — jednym słowem — złego nie.

Jakiś kataklizm powszechny zwiął naraz z oblicza społecznego wszystkich ludzi nieprawych. Zostali sami prawi, sami prawnicy.

Siedzą i medytują, co tu teraz robić ?

W sądach nie ma kogo badać, sądzić i skazywać. Siedzą sędziowie za stołem oto, prezes, prokurator, sekretarz, żandarmi z zardzewiałym żandarmskim spojrzeniem, które rozbłyskiwało dawniej na widok zła, adwokaci też z próżnymi tekami siedzą, dównie ziewają, tak że nawet ochota ich do opowiadania sobie tłustych anegdotek odbiegła ; nie ma publiczności, lubiącej się gapić, albo dawać tak ochotnie złe świadectwo o swoim bliźnim; notariuszów nie ma, woźnych nie ma, szpiclów, łapaczy nie ma. Słowem, cały ten aparat, skupiający się naokoło zła i z niego, jak roślinność z mierzwy rosnący, przestał funkcjonować.

Tak samo i w kościele — pustka. Nikt nie przystępuje do spowiedzi, bo grzech przestał istnieć; nikt nie słucha napomnień z kazalnicy, bo ludzie wiedzą jak żyć, mianowicie: powstrzymać w sobie zło, zastrajkować w występku; dalej — nikt nie modli się i nie jęczy : «od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie» — bo nie ma ani zrazy, ani głodu, ani pożaru, ani wojny na świecie.

Głód jednak, zanim przestał istnieć zupełnie, dotknął śmiercią tych wszystkich, którzy ze zła się żywili. Powymierały towarzystwa asekuracyjne od różnych klęsk, bo klęsk zabrakło.

Zniszczył, powytępił głód i dziennikarzy. Bo o czymże mieli pisać, jeżeli na zło taka posucha. Mogliby wprowadzić zacząć pisać o czymś dobrym, ale na to trzeba mieć coś dobrego w sobie, tymczasem ich ciągnęła pogoń za złem sprawiła, że przestali byli wleźć w jakiegokolwiek dobro, po prostu oślepli, jak kret, któremu oczy niepotrzezne.

Bankructwo ogarnęło jeszcze jedną sferę: literaturę t. zw. powieściową. Powieść najpoczytniejsza jest ta, która da-

je opis albo samych tylko złoczyńców, albo też — w której złoczynstwo jest niezbędne dla dania pojęcia czytelnikom o dobrem. Dobra samego w sobie ten tłumny, dający powodzenie czytelnik, nie pojąłby ; on pojmuje tylko dobro w postaci zła, miłość — w postaci nienawiści ; raj — w kształcie piekła.

Autorowie takich powieści, pełnych najprzeróżniejszych przejść demonicznych, tak zwanych z rosyjska «przeżyć» — zaczęli masowo ginąć z głodu, jak te muchy, którym zabrakło odpadków i gnojów, i które nie mogą wytrzymać w powietrzu zupełnie czystym, bez żadnych złych wydziarzeń.

Tak zwane «przeżycie» może być tylko w złem. Coś przeżyć to znaczy po polsku to coś utracić, pozbyć się tego. Któżby zaś chciał się pozbywać dobra, czyli to dobro przeżyć. Przeżycie dobra znaczy dobrą utratę. Przeżycie jest tylko w złem. Przeżyć dobrych nie ma. Zatem, ażeby szczęście mieć, należy go nie przeżywać. Szczęście prawdziwe jest nieprzeżyte — niepożyte, wileczne. W szczęściu prawdziwym o przeżyciu nie ma mowy. Szczęściem prawdziwym żyje się, ale się go nie przeżywa, bo to szczęście nie ma granic. A wszystko to, co jest ograniczone, marne, złe — to należy do sfery przeżycia, do wydziału złoczyńców.

Romansopisarze i romansopisarki, noweliści przeżyć i nowelistki, czyli ta cała kategoria ludzi przeżytych, zaczęła ginąć, aż wyginęła doszczętnie.

Zaczęli ginąć również fabrykanci trucizn i różnych jadowitych preparatów i leków. Wskutek braku złych postępów, ludzie przestali chorować, a więc i potrzebować doktorów, aptekarzy, felcerów, siostr miłosierdzia, pogotowia ratunkowych i innych tym podobnych urządzeń potrzebnych społeczeństwu, w którym panuje złodziejstwo i złoczynstwo.

Upadli też fabrykanci wszelkiego rodzaju oręża. Upadł niemiecki zakład Kruppa w Essen, a to pociągnęło za sobą ruinę bronio-czyńców i w innych krajach. A że bez broni niemożliwe jest wojsko, tedy i ta klasa wałkoniów i próżniaków stała się zbiteczna. Fach, polegający na umiejętności jaknajdoskonalszego zabijania ludzi sobie podobnych, czyli sztuka homobójcza, przestała być szanowaną, podziwianą i nagradzaną nawet przez kucharki, nie mówiąc już o damach z towarzystwa, łasych na flirty, na szablę i ostrogę. Ta rewerencja została jeszcze wśród kur dla koguta.

Cały zastęp sił młodych, które się w wojsku przeżywały, teraz został wrócony prawdziwemu życiu, w którym dobro zakwitło.

I byłby się ten przewrót po obaleniu zasadniczego przesądu militarnego był szczęśliwie odbył zaraz, gdyby nie jedna jeszcze rzecz.

Gdyby nie reakcja klas tych umierających, które najbardziej miawszy do czynienia ze złem — po prostu wyżyły się już były wszelkiej nadziei, że możebnem jest życie samym dobrem.

Ci więc wszyscy, jak sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, notariusze, woźni sądowi, żandarmi, dozorczy więzień, szpi-

talnicy, doktorzy, aptekarze, dziennikarze, pisarze sensacyjnych romansów, wogóle ludzie, uznający to zło za jakąś konieczność, widząc, że to zło zanika, i że studnia ich dochodów może wyschnąć, postanowili wszelkimi siłami to zło podeprzeć.

Zaczęli więc od tego, że wysłali deputację do swoich karmicieli złoczyńców, prosząc ich o przywrócenie do zajęć, czyli do pełnienia zła.

Ale złoczyńcy jak jeden mąż odpowiedzieli: nie.

— Wszakżeście — powiadają — chcieli, wy ludzie prawi, abyśmy ludzie nieprawi, poprawili się. Tak, czy nie?

— No, tak.

— A więc poprawiliśmy się stanowczo. Nie mamy nic wspólnego ze złem. Odczepcie się od nas. Czego wam jeszcze do szczęścia potrzeba?

— Waszych złych uczynków, waszych nieprawości (powinni byli właściwie odpowiedzieć ci ludzie dobrzy i prawi).

— Nie z tego — (odpowiedzieliby na to złoczyńcy). — Strajk i basta.

Co tu robić ludziom dobrym?

Zaczęli, przywieźni do ostateczności, czynić zło sami.

Część sądownictwa zaczęła grać rolę złoczyńców sama, dla dobra korporacji. Często widziano prokuratora, pełniącego tę samą zbrodnię, którą tak doskonale poznał, której się tak doskonale nauczył wówczas, kiedy to jeszcze na nią piorunował.

Część doktorów zaczęła być chorymi, również po to, aby ten gatunek zwany «pacjentem», nie zaginął, — gatunek, który tak obficie, tak dostatnio żywił.

Część księży zaczęła uprawiać grzech, również po to, ażeby się rodzaj grzesznika nie wypenił ze szczętem.

I tak we wszystkich tych klasach, które walczą ze złem w imię dobra, a raczej w imię dobrobytu.

Niestychaną pomoc okazali tym klasom w ich sztucznych aspiracjach kapitaliści.

Kapitalista za podstawę życia ma również to — zło, tylko z niewielką aliteracyjną przestawką, mianowicie zamiast to — zło powiada zło — to, czyli złoto.

To zło miało już zginąć, gdy wtem kapitaliści ostatnim wysiłkiem swego sprytu giełdowego zrobili tę niecną konwersję i usiłovali, odwróciwszy kota ogonem, wprowadzić znów w życie to zło, zapewniając, że złoto jest w życiu walorem nieodzownym.

Bankierzy, giełdjarze, finansisci, lichwiarze, procentowicze, maklerzy, stręczyciele, kupecy i w ogólności ludzie, operujący złotem, połączeni, jak się orzekło, z sądownikami, z księżmi, z adwokatami, z dziennikarzami, z pornografami, z autorami przeżyć i z innymi poplecznikami, długo jeszcze walczyli z zastępami strajkujących złoczyńców, długo jeszcze w nęcących, w kuszących barwach przedstawiali im powrót do zajęć... daremnie.

Złoczyńcy wytrwali pomimo wszystko wstanowczym wyzreczeniu się zła. ginęli dobroczyńcy.

Było to w roku dwutysięcznym dwusetnym dwudziestym drugim po narodzeniu Chrystusa, ukrzyżowanego przez sędziów, adwokatów, rabinów, uczonych doktorów, katów i żołnierzy.

Dziś daleko jeszcze ten czas, o którym może roić utopia. Dziś jeszcze złoczyńcy nie myślą strajkować. Owszem pracują w najlepsze. Dość przejść się po kryminałach, po sądach, po kancelariach notarialnych i adwokackich, po gabinetach doktorów, po różnych uzdrowiskach cielesnych i dusznych, aby nabrać przekonania, że zła jeszcze długo nie zbraknie i że więc nie mamy się co trwożyć o zagrożony byt, my ludzie dobrzy.

JAN LEMAŃSKI.

Fraszka polska

Jan Kochanowski (1530-1584).

NA MŁODOŚĆ

Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli
Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli.

O MIŁOŚCI

Próżno uciec, próżno się przed miłością schronić,
Bo jako lotny nie ma pieszego dogonić?

Wespazjan Kochowski (1633-17803)

DZIWNA

Bóg człeka z gliny stworzył, piszą historje,
Jakoż on nie rozmięknie, gdy ustawicznie pije?

Józef Dyonizy Minasowicz (1792-1849).

RZĄD NAJLEPSZY

Czem się szczyci rząd najlepszy. — Z tem, co i kobieta?
Czem się szczyci rząd dobry z tem, co i kobieta:
Gdy nikt o nich nie mówił — oto ich zaleta.

Felician Faleński (1825-1910).

Kapryśne losy raz pono
Coś i dla świni uczynią...
Wyryła w śmieciach pod skrzynią
Z pieniądzmł sakwę zgubioną.
Wtedy jej zaraz mówiono:
Ach, Jaśnie Wielmożna Świnio!

Kazimierz Gliński (1850-1920).

HAMLET

— «Być albo nie być!... oto jest pytanie,
Gdy ani tutaj, ni tam szczęścia nie ma!»
Ofelia na to: «Chodźmy na śniadanie,
Rozwiążem później to wielkie problema».
I Hamlet poszedł — — —

LEPSZE CZASY

Nie sprzeczam się — jest postęp — lepsze czasy padły.
Dawniej, pośród przyjaciół psy zająca zjadły...
Teraz, co krok, to widzę zmian poważnych wiele,
I zająca zjadają sami przyjaciele.

Wiktor Gomulicki (1851-1919).

SĄSIEDZTWO

Ludowa mądrość od wieków powiada,
Że nie gorszego od złego sąsiada.
Lecz się myśl ludzka od wieków też biedzi:
Czy na tym świecie są dobrzy sąsiedzi?

Jan Lemański (1863-1933).

FILOZOF I PANNY

Ze dwa razy dwa — cztery,
Panienkom raz tłumaczył
Filozof podżyły.
Panienki przeczyły.

Rzekłby ktoś, co z boku słuchał dysputy zawilej :
— Nie przekonasz kobiety,
Kiedys jej niemiły».

Leo Belmont.

ZERO

Twierdziłem niegdyś, wydając lekcję,
Nie znając jeszcze zwątpienia,
Że cyfra z e r o, sama przez siebie,
Nie ma żadnego znaczenia.
Ale wnikając w sprawy społeczne,
Ja zrozumiałem dopiero,
Że tutaj — znaczne znaczenia
Najczęściej posiada z e r o.

Al. Janta Potczyński.

FRASZKA POD CICHĄ LIPĄ

Płci spokojna, płci wesoła!
Ile cię trzeba cenić,
Ten tylko się dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.

SYMPTOMAT

Rozwoju współczesnego miasta
Jeden z ważniejszych symptomatów:
Kiedy okolica obrasta
Sanatoriami dla wariatów.

Ludwik Puget

PODZIAŁ DOBRAMI

Miłość mu dała, wiarę mu dała
Więc przy nadziei sama została.

Józef Jankowski

FRASZKA

Był czas, że o zasłudze stanowiła głowa,
Dziś plecom przynależy rola honorowa, —
Jeśli więc coraz niżej stacza się widocznie,
Ciekaw jestem — zasługa na czym wreszcie spocznie.

K. Morawski

PORÓWNIANIE

Czym jest wino w naczyniu, tym klasy w narodzie,
Z wiezrehu szum, w środku czystość, a drożdże na spodzie.

A. K. A.

MARUDERZY

— Weźcie na wóz bracia.
— Weźcie mnie na wóz bracia, proszę innych chorych
Żołnierz maruder. Zgodny odpowie mu poryk:
«Sam widzisz, że tu darmo wtykaćby choć szpilkę
I szkapę ledwie ciągną, ustaną za chwilę».
Lecz tak błagał, tak skomlał, tak wytrzeszczał ślepią,
Że wreszcie go przyjęli. A wtem się przyczepia
I nie gorzej od niego jęczy piechur nowy,
Zaś szczęśliwiec na wozie krzyczy: «Ani mowy».

Le styl c'est l'homme

CZYLI WIERSZYK O ANDZI, CO UKŁUŁA SIĘ I PŁAKAŁA,
W INTERPRETACJI ROZMAITYCH POETÓW (WYJĄTKI) — PRZECZ JULIANA TUWIMA

„Nie rusz Andziu tego kwiata,
Róża kole” — rzekła matka;
Andzia matki nie słuchała,
Ukłuła się i płakała.

MIKOŁAJ REJ

Posłuszeństwo rodzicom — wielka rozkosz.

Wierę najpiękniej dziatkom godzi się poćwiścić,
Jako z ni jest żywota wszelaką szczęśliwość,
Wzdy się to w wirszu snadnie może pokazać,
Iżby się rodzicielskim słowom nie sprzeciwiać.
Rzekła matka Anusie, by róż nie ruchała,
Ależ rozważne mowy Anus nie słuchała;
Nizacz to wszystko maiać, na przeciw przestrodze,
O kolec się ukłuwszy, zapłakała srodze.

KAZIMIERZ LASKOWSKI (EL)

Rach, ciach, ciach, stoi ciatka,
A przed chatką pani matka,
Stoi córuś przy stodole
Córuś, córuś róża kole!

Prosiak w błocie, kot na płocie,
Stoją pola w szczerem złocie
Rach, ciach, ciach, dana—dana,
Stoi córuś zapłakana!
Nie pomogła matki rada,

Ukłuła się, teraz bieda,
Teraz biada zapłakana,
Rach, ciach, ciach, dana—dana!!!

LEOPOLD STAFF

Wiem... zbyt drogo okupię radość nikłej chwili
Która mnie smętkiem szczęścia złudnego upoi,
Gdy się za różą bładą tęsknota wysili
I zakwitnie przedziwnie w wątlej dłoni mojej.
Lecz muszę dłoń wyciągnąć, co mi służy wiernie,
Bo nazbyt mi tęsknota w cichym sercu wzbiera
I krwawi dłoń jedna o kolące ciernie;
Gdy druga — łączy radości i szczęścia ociera.

ADOLF NOWACZYŃSKI

(Dwa meandry)

Gdy czech żelazem pracuje i stałą,
To u nas kwitną złocistych tchnień ogrójce,
Płodzą się poezjanci i przemysłobójce,
Judejczykowie falą na nas wałą.
A fe-Feldmany „miss Tykę” nam chwałą.
— Gwiżdżę na waszą romantyczną tróję!

Katerloróże rwać — to wasza gratka!
Kwiatka poezji młódz nie zaniechała
I ustawicznie gustawicznie pała.
Niech pamiętają, co raz rzekła matka
Do Andzi! Aby nie duszała kwiatka
I jako potem Andzia — zapłakała...

*Na Kanonii jest facjata,
Co się w zwojach bluszczu chowa,
Mieszka w niej z córeczką Andzią
Zacna pani Maciejowa.*

*Cnót mieszczańskich zawsze pomna
Urodziwą córę chroni,
Kwitną mores jak za dziadów
Na facjatce, na Kanonii.*

*Kwitną także przednie róże
W oknie pani Maciejowej,
Nie rusza ich śliczna Andzia.
Ostrzeżona matki słowy*

*Bowiem rzekła Maciejowa,
Jak troskliwa, zacna matka:
„Róża kole, moja Andziu,
Nie rusz tedy tego kwiatka”!*

*Płyną lata, lata płyną
Kiedyś Andzia zapomniała,
W dłoń dziewczęcą kwiat chwyciła,
Ukłuła się i płakała.*

Hanka stała z utkwionymi w jeden punkt oczyma. W mózgu jej płonęły wściekłe nawałnice szalonych paroksyzmów boleści. Te róże — — — te róże czerwone — — — Wirski zaśmiał się... „He, he... Pani patrzy na kwiaty... A róże kolq.: krew! Rozumie pani?” Z histerycznym tłaniem chwyciła róże z wazonu i zaczęła wbijać sobie w palce długie, ostre cernie... „Ryszardzie, miłość moja, Ryszardzie — ten obłądny taniec, taniec śmierci! Ryszardzie, krew!”

Wirski wstał, kopnął ją, napił się koniaku, wypalił nerwowo kilką papierosów i wyszedł.

A Hanka szlochała.

.... Szlochał deszcz za oknem.

*Jak BOLESŁAW LEŚMIAN napisałby wierszyk
„Włazł kotek na płotek”...*

*Na płot, co własnym swoim płoctwem przerażony
Wyziorne szczerzy dziury w sen o niedopłocie,
Kot, kocurzak miauczurny, włazł w prosię-laskocie
I podwójnym niekotem ściga cię zielony.*

*A ty płotem, kociugo, chwiej,
A ty kotem, płociugo, hej!*

*Rozślepia, których niema, mrużąc w nieistowia
Wilkające się w płatwie śpiewnego mruczyna,
Dziewczynę-rozbiodrzną pod pierzynę wzywa
Na bezdosyt całunków i nędzę ustowia.*

*A ty płotem, kociugo, chwiej,
A ty kotem, płociugo, hej!*

Lekarstwo

Strzelec Gołąbek był od kilku dni w fatalnym nastroju. Do najserdeczniejszych kolegów «od serca» — odzywał się gburowato, półsłówkami, godzinami patrzył w jakiś punkt, zamyślony, to znów nerwowo i przy ładą okazji wybuchł gniewem, używając słów, które nawet u starych wiarusów, co to — przysięgłbyś — od niemowlęstwa nozszą mundur, wywoływały zdumienie... Nie jadł prawie nic, odsuwał nawet jajecznice konserwową, za którą normalnie przepadał...

Wszystkie te symptomy patologiczne wywoływały zaniepokojenie ogólne.

— Coś tam nie sztytuje — powiedział strzelec Kwapien — chłop schnie w oczach, głodówkie na ghandi odstawia, na pryczy się w nocy rzuca, jakby miał chorobę świętego Wita — zmarnuje się jak dwa a dwa to pięć...

Uradzono, że trzeba wysłać chorego kolegę do lekarza. Ale strzelec Gołąbek odmówił stanowczo.

— Odczepcie się, cholera! — powiedział. Do żadnego łapiducha nie pójdę i szlus! Odwrócił się i odszedł.

Zapanowała ogólna konsternacja i przyjaciele postawili, że strzelec Kowalski, który był najlepszym kumplem Gołąbka — wysonduje kolegę i dowie się, o co właściwie chodzi.

Strzelec Kowalski spisał się ze swego zadania doskonale i jeszcze tego samego wieczoru razem z całą ferajną w jednej z zacisznych knajp opowiadał:

— Chwescia jest jasna jak słońce. Krótko i węzłowato: spódnica, czyli zawsze la fam, jak jakiś słynny uczony powiedział. Baba jak zwykle życie menżczyźnie zatrjuje, bo na to ją Pan Bóg stworzył.

Gołąbek do jakiejś księgarni kiedyś wszedł, żeby sobie

kupić kalendarzyk kieszonkowy. Obsłużyła go jakaś wymalowana i wylakierowana sikorka — i chłop z miejsca wpadł. Jak mi powiedział: jakby go ktuś w głowę kijem zdzielił. Mizdrzyła się do niego lafirynda, wszystkie wdzięki swoje pokazując — fryzura a la Greta Garbo, nogi francuską modą powyżej kolan zaprezentowane, wymalowana jak landszaft Matejki...

Chłop zadurzył się po uszy... Od tego czasu nic, tylko dzień w dzień cały żołądek na zeszyty i ołówki i stalówki wydawał i do swej bogdanki szczerzył zęby. Poszli potem do kina, na aperytyf, do parku na ławeczki i tede. Sielankie tak odstawiali przez cały tydzień...

Gołąbek mył sobie zęby cztery razy na dzień, co noc spodnie kładł pod materac, żeby kant trzymali... wiadomo młody i głupi... a tu nagle: krach!

Babę zainteresował jakiś cywil — i Gołąbek dostał pa-skudnego kosza...

I teraz chodzi jakby miał dyzenterię albo inną szkarlatynę — wułała!

Odchrząknął i skończył. Zapanowało milczenie. Wychylili wszyscy swoje kieliszki.

— Coś trzeba zrobić, bo chłop z żalości rozechoruje się na dobre! — zaopiniował strzelec Kwapien — a swojom drogom baba drań. Cywila wybrać a żołnierza odstawić to granda i wogóle kollaboracjonizm. Łachudra jedna, różem wypacykowana...

Zamyślił się wszyscy. Głos zabrał najbardziej doświadczony ze wszystkich, stary strzelec Bykowski.

— Dwa som farmaceutyczne środki na zawiedzionom miłość. Albo klin klinem — czyli babę mu znaleźć należy... albo w ankołolu zmartwienie swoje utopić...

Zaaplikowanie tego pierwszego środka terapeutycznego było o wiele bardziej skomplikowane niż tego drugiego i chórem przychyłono się do drugiego projektu.

I na drugi dzień wieczorem w tej samej knajpie przy okazałej ilości kalwadosu i maru nasi przyjaciele zaczęli karucać schorowanego kolegi. Najpierw było «na zdrowie» potem «za nasze kawalerkie», potem «na pohybel», a potem cała masa toastów...

Po godzinie intensywnego wódo-lecznictwa pacjent i gro-
no doktorów z trudem trzymali się na nogach... a ponie-
waż było już dość późno, więc zdecydowano powrót do ko-
szar. Wyszli, śpiewając motywy z wdzięcznej piosenki p.
t. «Alfabet». I wszystko skończyłoby się dość prozaicznie,
gdyby nie to, że w pewnej chwili strzelec Gołąbek stanął
jak wryty i powiedział do strzelca Kwapienia.

— Antek — słuchaj — jak Boga kocham! — widzisz
tego typa co zapala papierosa pod latarnią... To on! To
ten drań, który mnie moją Zanelkę odbił... — potem za-
czął płakać «łzamy rzewnymi» — jak mówi poeta...

— O ja nieszczęśliwy, przez takiego niedojdę sponie-
wierany, na honorze, splamiony, na dudka wystawiony...

A potem nagle opanowało go bojowe podniecenie.

— Panowie! Kolegie z błotem zmieszano! Dalej na ła-
chudrę! Czekaj ty łatku z pierogami... Czekaj!...

Zbliżyli się właśnie do tej latarni, pod którą stał wy-
żej omawiany facet...

Strz. Kwapien złapał nieszczęśliwego za krawat, a strze-
lec Gołąbek strzelił go w szczękę, aż tamten podniósł
wrzask jak zarzynany baran i jak nie da chodu... Zaku-
rzyło się tylko za nim i wkrótce zniknął z horyzontu...

— Swoim drogim — powiedział st. strzelec Bykowski
— co to za chłop? Lebiega w szczękę bity, co to kota
z zadartym ogonem udaje. Pfu!

I ruszyli dalej...

WIESŁAW NASIŁOWSKI.

KANAREK

Gdzieś w knajpie na przedmieściu
Bandytów siadło sześciu.

W karty rznąć jeli, pili

W klatce kanarek kwiłi

Prawiki o morderstwach,

Plugastwach, bluźnierstwach,

O zimnych gwarzyli draniach

Kradzieżach i włamaniach.

Co ugwarzyli — pili

(W klatce kanarek kwiłi)

Aż się przebrała miarka;

Kopnął jeden kanarka.

Kanarek frrrr... wyskoczył —

Dziobnął drugiego w oczy.

Drugi aż z bólu wrzasnął

Więc — bęc — trzeciego trzasnął.

Trzeci bił się niepodle

I lu, czwartego na odlew

Ten obejrzał się, czemby

Łunąć piątego w zęby.

Piąty szóstemu sółkę

Tak rozpoczęło bójkę.

Bili się ci i tamci,

Aż przyszli policjanci;

Bandyci tłumaczyli:

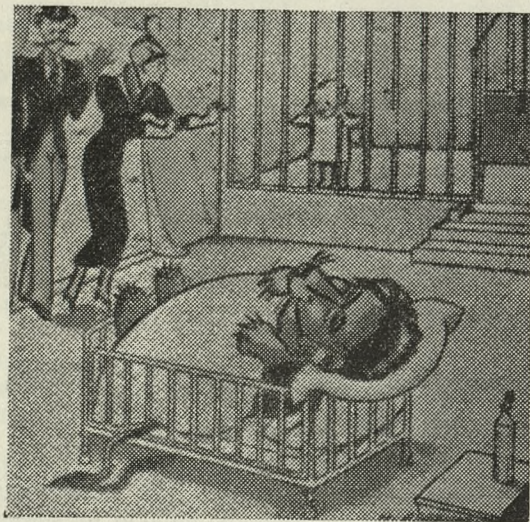
To przez kanarkę... że kwiłi

Ktoby bandytom dał wiare!

Że pierwszy zaczął kanarek.

W ponurym siedzą milczeniu
Jak w klatce, w czarnym więzieniu.
Kanarek zaś patrzy z drzewa
I kwiłi i gwizdzie... i śpiewa.

Ppor. A. N.



Gdy pogromca lwów wraca wieczorem do domu.

Listy do Redakcji

Kochana Redakcjo!

Szanowność stała się dzisiaj rzeczą względną, dla'ego pozwalam
sobie na zmianę przyjętego tytułowania; jest to zresztą wynik war-
tości pisma Panów.

Pismo jest kochane, prawdziwie polskie. Właściwie każde nasze
pismo chce szczyścić się swoją polskością, podczas gdy w istocie
wiele ma z nią związek jedynie w języku — często i ten pozos-
tawia wiele do życzenia. Polskość wyrażana u'arczkami osobis-
tymi autorów i zbiorowisk, upartą walką z zapelnieniem drukiem
tytu a tytułu stron i kolumn, jednocześnie zaś «indywidualizm» w
upartym trwaniu pisma jako odrębnego przedstawiciela niewiadomo
jakiej idei — oto smutny obraz części naszej prasy wojennej.

Dział twórczości jest dużą zaletą pisma Panów. Ja osobiście i
wielu moich przyjaciół i znajomych zgodziłibyśmy się na zwięk-
szenie tego działu; przedmiotowo jednak objętość obecna działu
— mam na myśli numery ostatnie — jest zupełnie właściwą.

Miejsce naszej poezji jako wychowawczynie serc i sumień, tak
bardzo dzisiaj wystawianych na niebezpieczeństwo, jest bardzo po-
czesne; tym bardziej, że szkoła nowoczesna pozostawia pod tym
względem wiele do życzenia. Polacy zagranicą potrzebują poezji
— nawet ci, którzy twierdzą, że to zupełnie zbędne. Poezja zaś
nasza stoi dziś wysoko, może na pierwszym miejscu w świecie; nie
ma ona charakteru oderwanego marzycielstwa lub t. zw. «schodze-
nia w dół do ludu». Jest powszechna, czysta, polska. Dzieje okre-
śla jej wielkość — my możemy być dumni już dzisiaj.

W stosunku do treści pisma Panów s'oi również jego szata gra-
ficzna; jest to nawet pewien wyczyn przy dzisiejszych warunkach,
kóre istnieją nawet w krajach takich jak Szwajcaria.

Nie są to tanie, błahé słowa, przewidziane prawidłami savoir
vivre'u. Tak powinien Panom napisać każdy czytelnik.

R. Tyczyński.

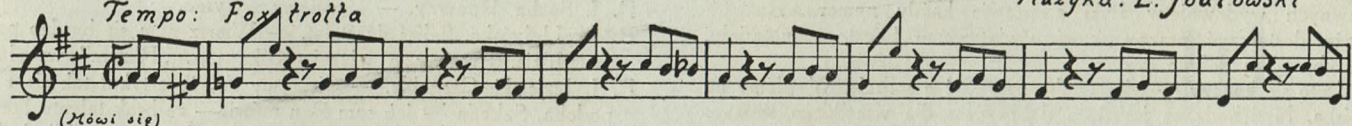
Nowe piosenki

Ramię w ramię

Słowa: A. Chciuk

Muzyka: E. Jodłowski

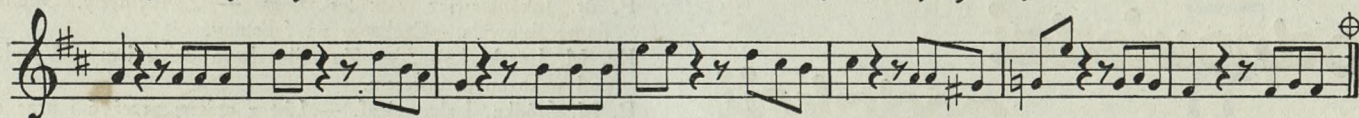
Tempo: Fox trotta



(Mówi się)

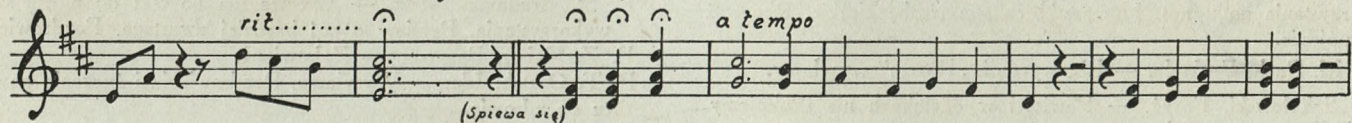
W cywilu bracie to traskasz sto tykiety bony i saufcon-duits i jawiem dobrze i tywiesz to więc poci głowę zawracać

W cywilu myslisz jak zrobić coś tędzy tam-tędy które dy pojść A ty by myśleć jest jeden gość kwatermistrz bracie i kapral



ci A unas w wojsku inaczej jest nie martwisz niczem nie martwisz się bo masz co palić i masz co jeść a jeszcze

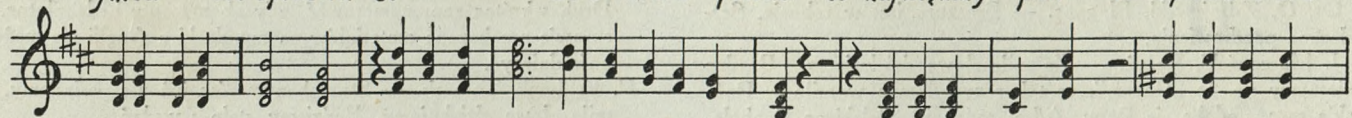
twój A ty se chodzisz bez troski już chęć tylko jedną będziesz mieć wnet by grzmocić wrogów strzepy i kurz zostawić



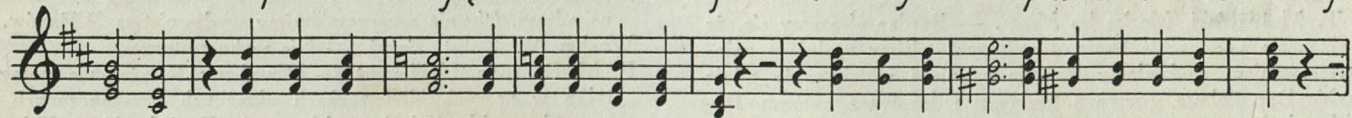
Ymca coś sprzeda Ci

(Spiewa się)

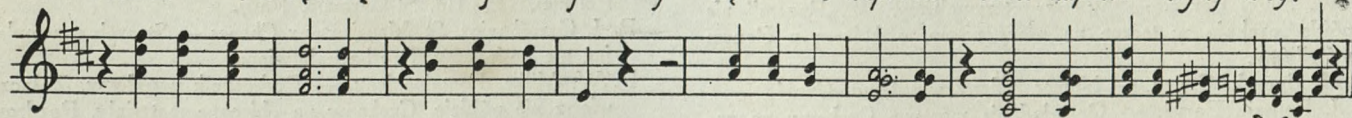
Bo żołnierz polski to największy pan tak śpiewa stara



stara nasza piosenka Na wojnę idzie sobie tak jak w tan Czy Szwab naprzeciw Turek Szwed czy



Moskal I twiczą się śmie - je śmieje śmieje się I naprzód idzie naprzód nigdy w tyl



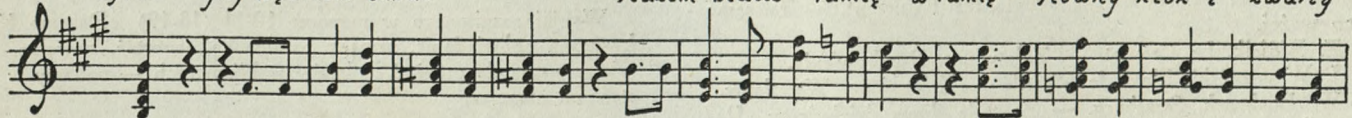
Czy jest mu dobrze czy jest mu źle To śpiewa sobie z wszystkich sił

D.C. al



tylko gdy będziesz szedł

Razem bracie ramię w ramię Równy krok i zwarty



szyk żadna siła nas nie złamie i nam nic nie robi nikt Trzeba tylko naprzód śmiało



jeden krok i jeden szyk iść bez różnic i po - działów To nam nic nie robi nikt

UWAGA: część I od słów „W cywilu bracie” - do „sprzeda Ci” mówi się na ęle muzyki

W sierpniu i wrześniu pracownik oświatowy nie może zapomnieć w swym programie o urządzeniu obchodów z okazji rocznic: Powstania Warszawskiego (1. VIII. 1944), Wymarszu Kadrowki (6 VIII. 1914), Cudu nad Wisłą — Święto Żołnierza (15. VIII.) i 1-go września. Materiały do tych rocznic często były podawane w dawnych wydawnictwach Imki a prawie każdy numer „Razem” może dostarczyć pracownikowi oświatowemu bogatego materiału. Trzeba tylko dobrze czytać.

Lato się kończy — więc trzeba pamiętać o sporcie. Wyjdźmy na boiska. Nadchodząca jesień to dobry czas dla wszelkiego rodzaju turniejów (szachy, ping-pong, damki, koniki i t. p.) i kominków. Tylko trzeba o nich pomyśleć zawczasu i dobrze je przygotować.

odpowiedzi redakcji

- P. M. Dygnarowicz, Niemcy. — List i materiały otrzymaliśmy. Scenariusz filmowy ciekawy, lecz nie widzimy możliwości wykorzystania go u nas. Humoreski czasem trochę ciężkie. Reportaż pójdzie.
- P. M. Pach, Bruksela. — List wyszedł. „Razem” wysyłamy.
- P. Sokołowski, Paryż. — Powieści w odcinkach nie drukujemy. Felieton zatrzymujemy.
- P. Dr. O. Zdrojewski, Blagnac. — Broszura jest w robocie. Serdeczne pozdrowienia.
- P. J. Marczyński, Paryż. — Za miłe słowa dziękujemy. Bardzo cieszymy się, że „Razem”, co tak przypadkowo wpadło w Pańskie ręce, podoba się Panu. Adres redakcji „Polskiego Pachołecia”: Lyon, 7, rue Crillon.
- P. T. Możdżeński, Marles les Mines. — Bardzo cieszymy się, że „Razem” podoba się Panu. List przeczytaliśmy z dużym zainteresowaniem, podziękujemy Pańskie zdanie i widzimy, że zdaje sobie Pan dobrze sprawę z trudności redagowania numeru. Pozdrowienia.
- P. W. Sitek, Paryż. — Wiersze otrzymaliśmy. W „Razem” nie pójdą, czekają w teczce na nowe pismo, o którym z Panem mówiliśmy.
- P. M. Buczek, Creteil. — Numer żądany wysyłamy. Cześć.
- P. J. Potiszil, Paryż. — Onowiadanie morowe. Czekamy na zapowiedzianą wizytę w redakcji.
- Kol. A. Nowicki, Lille. — Zdjęcia z kantyny YMCA w Lille są za ciemne. Trochę słonecz! Uśmiechnij się Antoś!
- Kol. R. Konecki, Decize. — Niestety, sztuczek teatralnych nie mamy. Do wykorzystania nadaje się skecz ludowy, zamieszczony w poprzednim numerze.
- Koło Polek im. H. Mościckiej, Audincourt-Exincourt. — To samo co wyżej.
- P. Z. Wójcik, Le Creusot. — Załatwione. Pozdrowienia.
- P. I. Wnuczowski, Flavv le Martel. — Załatwione. Wysyłamy.
- P. W. Bochenek, Strasburg. — Za miłe słowa dziękujemy „Razem” wysyłamy. Wiersz p. t. „Powrócił z Oświęcimia” idzie obecnie.
- Ks. St. Stefaniak, Dourges. — Dziękujemy za miłe słowa. Będziemy wysyłać, lecz nie w tak dużej ilości — bo nakład ograniczony.
- P. L. Woitczak, Barlin. — Za tak miłe słowa serdecznie dziękujemy. Prenumerata będzie ogłoszona w następnym numerze.
- Kol. E. Maćkowiak, Billy Montigny. — Nu, sztuczek teatralnych ani skeczy nie mamy, nie możemy więc Wam wysłać. „Razem” będziemy dosyłać, lecz w niedużej ilości egzemplarzy, bo nakład o-

graniczony. Cieszymy się, że się ruszacie. Powodzenia w pracy. J. J. Kliks, Nicea. — Będziemy wysyłać. Prenumerata będzie ogłoszona.

- P. J. Bania, Darmannes. — To samo co wyżej.
- P. L. Kantorski. — Niestety, starych numerów nie możemy przesłać, bo ich brak. Wysyłamy materiały o YMCA, o co Pan prosi. Śpiewników nie mamy. Za słowa uznania dziękujemy.
- P. J. Socha, Rouvroy. — Będziemy wysyłać.
- P. M. Holyńska, Salies du Salat. — Wiersz nam się bardzo podoba. Idzie. Prosimy o więcej. Kilka egz. „Razem” wysyłamy.
- P. J. Jezierski, Grenoble. — Cieszymy się, że artykuł tak się Panu podoba. Szkoda — jak sam Pan mówi — że brak talentu literackiego nie pozwala Panu na opisnie swych przeżyć. Niech Pan jednak spróbuje.
- P. R. Barczak, Bonne Fontaine. — Za pozdrowienia dziękujemy. Wysyłamy.
- P. dr. Jakóbkiewicz, Aix les Bains. — Zwróciliśmy. Odpowiadamy listownie. Czekamy na felietony.
- Ks. M. Lorek, Lyon. — Za miłe słowa dziękujemy. Wysyłamy pod wskazanym adresem.
- P. M. Śródka, Lahaymieu. — List z opisem przeżyć i prac społecznych w kolonii przeczytaliśmy z dużym zainteresowaniem. Cieszymy się, że mimo niepowodzeń i braku pomocy przejawiać dużą czynność. Żądanych przedmiotów nie możemy przesłać. Dziećmi si ę nie zajmujemy. „Razem” wysyłamy.
- P. St. Brudnicki, Metz. — Wiersze idą do teki do późniejszego wykorzystania. Prosimy o coś bardziej zwarte. Pozdrowienia.
- P. Z. Kaiser, Bagneux. — Załatwione.
- P. T. Osztab, Isle. — Wysyłamy. Pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia.
- Dh. Choinacki, Dourges. — Większą ilość „Razem” będzie mógł Druh wkrótce zaprenumerować, gdy abonamenty będą płatne. W sprawie przekazana materiałów na mundurki z Anglii nie możemy pośredniczyć.
- P. F. Jonik, Tamaris. — Starych numerów już nie posiadamy. Za miłe słowa dziękujemy. Będziemy stale wysyłać.
- Zw. Kult. Ośw. im. J. Piłsudskiego. — Wysyłamy pod wskazane adres. Chętnie przeczytalibyśmy wydawnictwa WPanów.
- Wachm. W. Kalist, Paryż. — Nie wykorzystamy.
- P. M. Rabenda, Haillcourt. — Wysyłamy. Książek nie mamy — tylko w naszych bibliotekach określonych przeznaczonych dla naszych ognisk. Książkę polską może Pani kupić w Księgarni Polskiej, 123, Bd. St-Germain, Paris.
- P. J. Grzaśiewicz, St.-Maurice aux Chenes — Starych egzemplarzy już nie posiadamy. Próba załatwiona.
- P. W. Milke, Fontainebleau. — Podrecznik wysyłamy. Załączony wiersz nie pójdzie. Czekamy na obiecane materiały. Pozdrowienia.
- Nadsyłane materiały, rękopisy i fotografie nie są zwracane. Redakcja zastrzega sobie prawo przeróbek i poprawek. Zwracane są tylko artykuły zamówione uprzednie przez Redakcję.

KONKURS

Wyniki rozpisane w numerze 10-11 (18-19) «Razem» Konkursu na opowiadanie, urywek pamiętnika, reportaż, nowelkę, czy wiersz — na tle przeżyć Polaków w Niemczech — podamy w następnym numerze.

POLSKA YMCA WE FRANCJI

skupuje

książki polskie
i polskie płyty gramofonowe.

Zgłoszenia nadsyłać do Biura Głównego YMCA :
47, rue Cardinet, Paris XVII.